

Nr 526.

Biblioteka Dzieł Wyborowych.

A3H6

Stanisław Ostrowski.



A gdy się lała krew ofiarna...

POWIEŚĆ

z końca XVIII wieku.

Cena 40 kop.

W prenum. 30 1/2 kop.

WARSZAWA

Redakcja i Administracja Warecka 14. Tel. 114.30.

1908.

A GDY SIĘ LAŁA KREW OFIARNA.

Stanisław Ostrowski.



A gdy się lała krew ofiarna...

POWIEŚĆ

z końca XVIII wieku.



WARSZAWA
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT, 70.
1908.



286380

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0172875

W/194/05p

Sielanka podolska.

Cyprian Czechel wtargnął do swej izdebki, rozświeconej powodzią księżycowego blasku, zupełnie oszołomiony sceną pożegnania. Tylko co wychodził z czułych objęć wuja, chorążego Żydaczewskiego, ciotki chorążyny, z siostrzanych uścisków tkliwej Tekluni. W duszy czuł zgiełk i zamęt wzruszeń niezwykłych, z których pragnął wyzwolić się co najrychlej, aby całą myśl skupić na jutrzejszej podróży.

Na moment zatrzymał się wśród zmierzchu i na stole złożył trzymany w ręku dar oraz znak widomy błogosławieństwa ciotki chorążyny, posrebrzany niewielki ryngraf, z którego wypukłej tarczy blask miesiąca wnet wywabił jasną twarz Bożej Rodzicielki. Wbrew i naprzekór woli, czuł, że mu przez duszę przeciągają wciąż jeszcze nikle i nieuchwytnie strzępy niejasnych wzruszeń i że on sam jakby się pograża w odmet fali chłonej i niezbadanej. Wydało mu się przez moment, że przedwcześnie

wspomnieniem zagnała ockniętego serca sięga chwili dawno, dawno ubiegłej, gdy tak samo rosły mu czoło lzy inne, matezyne, których kojącą wilgoć wy-czuwa dziś, jak wówczas, przed laty—że to kolana ojca obejmował przed chwilą i, że to ojcowska przy-jazna dłoń spoczywała tylko co na jego głowie.

Nie rychło otrząsał się z tych snień i ock-nionemi oczyma powiódł po widnej po nocy izbie. I wraz serce zadrgało pobudką dzielnej radości. Wszak jutro, skoro świt, rusza w drogę, przeto na-leży po raz ostatni zlustrować moderunek i toboły podrózne. Pierwszym jego czynem było poskoczyć ku ciemnemu kątowni izby, gdzie nad łóżem, na okrywającym ścianę kobierezku, wisiał pałasz, pa-miątka po ojcu, odnowiony ręką staranną. Zdjął go z gwoźdźcia i biegł ku oknu i tam, dobywszy z pochwy lśniący i wytoczony brzeszczot podsta-wił pod światło miesięczne, pilnie badając wzrokiem linię niepokalaną świecącego ostrza. Nie mając te-go dosyć, nieporównanie pieścizotliwym, miłosnem niemal dotknięciem palców jął próbować płytką, giętką stal, cheiwem uchem łowiąc dźwięk wysoki i czysty, który dreszczem niewysłowionym przeszył serce dwudziestoletnie. Naszło go w tym momen-cie cudowne złudzenie: wśród tych mroków i tej po-światy miesięcznej, zdawało mu się, jakoby był w ja-kiejś mrocznej, mistycznej kaplicy i w niewymow-nem wzruszeniu duszy, z rąk niewiadomego ducha odbierał rycerski sakrament...

Złożył pałasz na stole, obok ryngrafu, poczem, ku drzwiom się obróciwszy, w dłonie klasnął. Po chwili w progu ukazał się człowiek stary, z białe-

mi, zwisającymi w dół wąsami, ruchliwy i czerstwy. Wysoko podnosił w ręku świecznik trzyramienny, z płonącymi w nim świecami woskowymi.

— Gaudenty! do drogi gotowe wszystko? — obcesowo zagadnął go Cyprian.

Staruch wyprostował się służbiście.

— *Ave Marya*. Wedle rozkazu, panie.

— Bryka pod rzeczy?...

— Odnowiona, jako się patrzy. Koła ściągnię-te nową obręczą. Posmarowane osie i piasty.

— Konie?...

— Odstawiona trójka siwków od wszelkiej ro-boty i wypoczęta. Sam pan chorąży jegomość wy-brał trójkę najtęższą. Pojedzie Semko.

— Mój Sultán podkuty?

— Wedle rozkazu. Wesół i prycha u złobu, na dobrą snąć wróżbę.

— Niechże Gaudenty będzie gotów. Ruszamy równo ze świtem!

— Wedle rozkazu!... I dokąd-że, proszę pa-nie?...

— Do samego pana Kościuszki!—oznajmił uro-czyście Cyprian, nie mogąc ukryć w twarzy nagle-go wybuchu odruchowej radości.

Stary sługus złożył żyłaste dłonie, jak do mo-dlitwy.

— *Ave Marya*! Do samego pana generała? Zuaczy prosto pod Niemirów?...

Powieki mu drgały, białe wąsy trzęsły się w jakimś rzewliwym uśmiechu.

— Prosto pod Niemirów... — głosem niepew-nym powtórzył Cyprian, unikając zarazem wzroku

starca.—Zapewne... Zresztą obaczmy, jak nam ta droga wypadnie...

Obrócił się żwawo na obcasie i ku tobołom w kącie izby ułożonym się zbliżył.

— Niech mi Gaudenty poświęci. Trzeba obejrzeć rzemienie i sprzączki.

Pochylili się obaj, pan i sługa, nad tobołami i przy słabem świetle świec woskowych badali uważnie i drobiazgowo skórzane okrycia i ściągające je pasy rzemienne, majstrując tu i owdzie, gdzie zaszła tego potrzeba. Nierychło, zmordowany mozolną czynnością, Cypryan dźwignął się i prostując z ulgą gibką swą postać, skinął na starego sługusa.

— Dajmy już temu pokój. Wytrzyma to choćby najgorsze przeprawy i najdłuższą drogę. Czas spocząć. Niech już Gaudenty idzie pokrzepić przed wyprawą stare kości, a jutro skoro świt, będzie gotów.

— Wedle rozkazu, paniezu! *Ave Marya!*

Sługa wyszedł, a młody pan począł krążyć po izdebce, tam i napowrót, nie czując najmniejszej ochoty do spoczynku. Przystanął u otwartego okna, przez które wchodziła do izby czarodziejska noc wiosenna. Tuż przed oknem, w jaskrawym blasku miesiąca, osypane bisiosem szczodrego kwiecica, prężyły ku górze wdzięczne swe postaci pojedyncze drzewka wisien i grusz, podobne weselnemu gronu młodych narzeczonych, słodkich i pełnych szczęścia... Zapach subtelny i odurzający krążył bez ustanku dokoła zakwieconych ich głów, na podobieństwo rozkosznych marzeń w dziewiczy wieczór. Na

uboezu, kędy blask przystępu nie miał, z grubego cienia dźwigały się kształty żalobne topól, biegł korowód mniszy posępnych świerków oraz kolumnowych krzewów czarnej rawiny. Z ich ciemnego łona dobywał się szept nieśmiały i nieodgadniony, ni — to skarga — westchnienie usidlonej w ciemnościach duszy. Nadarzały się niewysłowione momenty ciszy anielskiej, gdy powietrze omdlewało i same tylko aromaty sączyły się niewyczuwalnie zewsząd, nie zdolne ruszyć najłżejszego listka, najdelikatniejszego płatka z korony kwiatu... Gdy się ocykał powiew, kłęby odurzających kadzideł buchały z rozkwieczonego ogrójca i wnikały do zaczarowanej duszy, niby tajemne przeczucia idącego szczęścia, niby zapowiedzi i obietnice doli dalekiej i nieodgadnionej...

W pewnej chwili szmer nikły i odrębny obudził uwagę rozemdlalą i wnet potem, po za oknem, prawie bez szelestu, wykwitła, w obrębie miesięcznego blasku, postać wysmukła i biała, niby rodzona siostra młodsza tych wiśniowych drzewek, stojących w sukienkach z kwietnej gazy. Młody wo jak drgnął bezwiednie i szybko się przez okno wychylił.

— Cóż to, Teklusi, straszysz, jak duch srebrny po nocy?—wybuchnął śmiechem szczerym.

Biała chorążanka cicho zbliżyła się ku oknu, paluszek trzymając na ustach.

— Cytl... nie trzeba budzić nikogo — szepnęła z potulną prośbą. — Wyjdź, Cypruniu, do mnie do ogrodu.

Czczel wsparł się rękoma o framugę okna,

lekko uniósł i jednym sprężystym skokiem był po drugiej stronie. Otoczył ramieniem kibić Tekluni i, przechylając figlarnie głowę, zajrzał w jej oczy.

— Cóż to, siostrzyczko za tajemnice? — zagadnął, tłumiąc wesołość. — A wiesz, ślicznieś zrobiła, po mnie przychodząc: pogwarzymy jeszcze raz ze sobą przed moim wyjazdem.

Podniosła ku niemu oczy, pełne cichego smutku i ruchem nieśmiałym przygarnęła się do jego ramienia. Patrzył na nią serdecznie i teraz dopiero zauważył, że była jakby zalekła i cała drżąca. Chwilę tak szli w milczeniu, zagłębiając się w mroczne cienie sadu. Cypryan czuł, jak przy jego boku łopocze się z mocą gwałtowną serduszko dziewczyny, jak ciężko faluje pierś uciśniona troską niewiadomą. Weszli w ulicę, sadzoną drzewami jabłoni, rozwonioną i pełną blasku. Nagle Teklusia zatrzymała się, przemógłszy wahanie i, nie podnosząc powiek, odezwała się szeptem, pełnym wzruszenia:

— Chcę cię prosić o pewną wielką przysługę... Wszak mi jej nie odmówisz, Cypruniu?...

Głos jej drżał, twarzyczka w blasku miesiąca wydawała się bieluchną, jak śnieg. Czeczeli byli nieco zdziwiony, lecz bardziej tknięty współczuciem. Pochylił się ku niej, pragnąc dodać odwagi.

— Przysługę? — udał zdziwienie — nie jedną, lecz sto radbym ci wyświadczyć. Tylko powiedz siostrzyczko, o co to chodzi?...

Jeszcze jakby wahała się przez moment, poczem ruchem szybkim i niespodzianym dostała z za stanika, ze skrytki sekretnej i nieprzeniknionej, nie-

wielki biały pakiecik i ręką drżącą podała go Cypryanowi.

— Oddaj to... panu Tadeuszowi — wyszeptała wzruszona niezmiernie — pismo i ten relikwiarzyk...

Nagły rumieniec falą płomieniejącą oblał jej twarz i szyję. Drżące, opuszczone w dół rzęsy nie śmiały się podnieść i odsłonić głębi źrenic wymownych.

— Ty wiesz... ja tobie, jak rodzonemu bratu... — szeptała, prawie bez tchu, łowiąc ustami oddech dla wyczerpanej wzruszeniem piersi — ty mi tych zwierzeń, Cypruniu za złe nie bierz!... wszak nie mam do niego innej drogi... Oddaj mu to wszystko do rąk—oddaj!.. i powiedz...

Powieki zadrgały i podniosły się, i z pod ich osłon, jak blask drogocenny dyamentu, wytrysło spojrzenie niewysłowione, wybuch namiętny nagle objawionego uczucia, dobyty z najtajniejszego osierdza duszy.

— Powiedz mu — szeptały wargi dziewczęce, przez które przelatywał dreszcz i płomień—powiedz, że ja mu zawsze zostanę wierną... aż do grobu!... tak, jako przysięgam... że wola ojca może nas tu rozdzielać, ale serca we mnie odmienić nie zdoła nigdy!... Że zawsze myślami... i modlitwą będę przy nim... Proś go odemnie, by włożył na się ten relikwiarzyk, idąc na te boje — on go ustrzeże od przygody, jeśli modlitwa gorąca oddanej duszy coś znaczy przed Bogiem... Oddasz mu?... Powiesz?...

Wzrok gorejący i natarczywy wlepiała błagalnie w jego twarz, w rozpaczliwej nadziei pragnąc

go zahaczyć o jakiś widomy rys przyzwolenia, pragnąc nim wyzebrać uległość dla swych zaklęć.

Uniosła się na palcach i zbliżając płomieniącą twarz swoją do jego chłodnej twarzy, wgryzając się wnikliwemi żrenicami w głąb najskrytszą jego żrenic, szeptała głosem, wrywanym z pod serca:

— Nie odmawiaj mi, Cypruniu, tej łaski, jedynej, ostatniej!... Przysięgnij mi, że uczynisz wszystko o co proszę... że oddasz to panu Tadeuszowi, że moje słowa odniesiesz mu wiernie!... Ja ci nigdy odplacić za to nie będę mogła, ale obaczysz, nagrodzi ci to Bóg!...

Czczel czule przycisnął dziewczynę do swej piersi.

— Dobrze, siostrzyczko, uczynię zadość twojemu życzeniu, wszak to kosztować mnie nie będzie żadnego trudu—mówił z wylaniem, serdecznie—daję ci na to moje słowo, skoro tego pragniesz dla zupełnego zapewnienia i spokojności.

Teklunia, zniemożona przebytem wzruszeniem, przegięła zwioteczałą kibić i złożyła na jego ramieniu głowę ociężałą i smutną bez granic. Cypryan, nie śmiejąc naruszyć ani słowem uświęconego milczenia tej chwili, delikatnem dotknięciem dłoni gładził ciemne włosy dziewczyny, gdy zaś, po niejakiem czasie, zajrzał w pochyloną jej twarzyczkę, widział, jak po policzkach pobladłych, tak niedawno zażegnionych rumieńcem, z pod zmrużonych rzęs, spływały szczodre, przezyste, ciche łzy.

Ślubowanie.

Wysoki sklep porannego nieba ledwie, ledwie muskały pierwsze zapowiednie promienie świtu. Ciche obrzask kryjomo rozpełzał się po widnokręgu ziemi płaskiej, spowitej w lekkie, błękitnawe mgły, z po za których, gdyby z po za gazowej przesłony, widniały już niepewne zarysy krajobrazu, objawiającego się, jak zakłęty sen. Dzień zapowiadał się jasny, złoty, przezroczy, dołem jednak, w zwójach ruchomych mgieł, powietrze było ostre i mimo posuniętej już wiosny, dawał się odczuwać ex-cytujący, przedporankowy ziąb.

Cypryan, w szarym kożuszką, zapiętym szczelnie dla porannego chłodu, siedząc na swym ulubionym Sultanie, zajeżdżał ostro na niewielkie wzgórze, które się wydzwignęło stromo z okalającej rozległej płaszczyzny. Dźwięczny tętent kutych kopyt po twardej, spoistej ziemi gromko się rozlegał w powietrzu i smutnem, głuchem echem wsiąkał w mgły. Na samem czole wzgórza, folgując zdy-

szanemu rumakowi, ściągnął cugle i obejrzał się po za siebie, na przebyty kawał drogi, leżącej poniżej.

Wzrok nurzał się we mgłach i swobodnie biegł po okolicy stepowej, rzadka splamionej buremi płachtami zamglonych lasów. W powietrzu perłowem i mglistem, niby sennie majaki, śniły się oczom dalekie wioski, dawały się przeczuwać niejasne skręty strumieni i prześwitujące powierzchnie stawów, w brzegach okrągłych lub podłużnych.

O małą wiorstę, nad szybą matową rozlanej wody, drzemała wieś Żurowskich i z kępy szarej topoli i świerków widniał wysoki dach domu, pogrążonego we śnie, z którego przed chwilą Cyprian wyjechał. W prawo, całkiem już wgłębiona w mgły, majaczyła odległa Zalesna, jego ubogie dziedzictwo, puszczonej dzierzawą opiekunowi chorążemu, w której prawie samowładnie gospodarzył jego podstarość.

Cyprian stał na stromem zboczu i mrocznemi oczami patrzył w znajomy do najdrobniejszego rysu krajobraz. Z dołu dolatywał coraz wyraźniej turkot jego bryki, powożonej ospale przez Semka i blizki tętent długonogiej szkapę Gaudentego, konwojującego bagaże. Wówczas zwrócił wierzchołca i trzymając go krótko w leju, wolnym stępem ruszył przed się, gubiąc się we mgłach, nieświadomą drogą...

Znagła zleciały na duszę, ni—to chmary obłędnego ptactwa, roje sennych, pół omdlałych dum. Na rozstaju doły, wśród przeczuć nieodgadnionego jutra, czepiały się duszy i wlokły leniwie za nią pasmami ciężkich mgławic, szlakiem nieoblotnym i nie-

wysledzonym przez myśl. W kryptach najtajniejszych pamięci, z najgłębszych ciemnie wspomnień zdrzemniętych wynikał błędny ogień, niepewne, mistyczne światelko, w którego obrzasku jawiły się przed oeknionymi oczyma duszy zbalsamowane twarze pomarłych lat. Przeciągał wspominkowy korowód mar wiośnianych, z przedziwną potęgą ożywczych, tamtych technię... Odsniwały się lata dziecięce, prze cudowne niemowlęctwo ducha, nieodłężonego jeszcze, przez rozum nieugięty, od mlecznej piersi wszechmatki przyrody... I lata późniejszego pacholeństwa, epoka żmudnego szkolnictwa w konwikcie u oo. pijarów w Tarnobrzegu i radosny powrót *ad fumos* ojczystej wioski, gdzie wśród pól i lasów, schodziły najszcześniejsze dni i lata na wywczasach słodkiego lenistwa, na włóczeniu się z flintą po ostępach kniei, na harcach w zawody z wichrami stepów, na wybrykach i swawolach nieokielznanej, tęgiej młodości. Tysiące podszeptów i słodkich kuszeń, tysiące ech syrenich, to znów tętniących tęsknicą i smętkiem, wżerającym się w serce jak ostrze śmiertelnego grotu, zdawało się brzęczeć dokoła we mgłach, niby głosy anielskie, niby pożegnalna i przeszywająca duszę mowa tych miejsc i czasów, które minęły...

Tymczasem słońce wydzwignęło się na firmament, mgły ulotniły się bez śladu, rozżarzył się majowy, błękitno-złoty dzień! Dusza, jak ptak, pogrążony w mrokach, nagle tknięty złotolitą strzałą wszechwładnego słońca, strząsnęła z piór strzępy mgławych marzeń i, rozwinawszy zdrętwiałe skrzydła, uderzyła radosnym lotem o jarzący się wschód

nowego dnia, o rozwierające się wrzeczadze cudnej przyszłości. W zdrzemniętych zagłębieniach świadomości ocknęła się naraz myśl tryumfalna o jutrze, załśnił wid tęczowy i przezroczy tego, co wnet ma przyjść. Cypryan uświadomił naraz sobie, dokąd dąży, jaki zwie go cel.

Ockniętej pamięci nastroczał się ów werbunek, zapoczątkowany przez generała, wracającego z za mór, jak zapowiedź nieomylna doli nieporównanej i upragnionej ponad wszystko. Serce załopotalo w piersi, pełne szału radości. Nieposkromiony moszcz krwi zatętnił i zagrał w żyłach z upajającym szelestem. Tężyzna pokolenia i rasy, niezaprzeczonego temperament i gorące serce dwudziestoletnie, pełne ukochań i nienawiści płomiennych, niosło go na zew onego werbunku, jak wiatronogi koń ognisto-grzywy....

Odtąd już jechał stepem złotolitym, wśród szybkich kryształowych błękitów, w nieustannym uniesieniu upojonej duszy. Jednak, na różanym tle onej zorzy, świtającej w myślach, jęła wykwiatać, zrazu jak ledwie dostrzegalna gwiazdeczka, potem jak kwiat mistyczny blasku, jak róża coraz pełniejsza i przeobfita, myśl jedyna i nie znająca sobie równej, myśl już sama w sobie będąca szczęściem... myśl rzewna i prawie zdumiona zuchwałością własną—o Krysi Morskiej, kasztelance kamienieckiej. Poznał ją zimny ubiegłej na redutach w Kamieńcu, na których znalazł się, trafem przybywszy, do grodu w jakiejś sprawie wuja chorążego — i, odrazu olśniony niezrównaną urodą kasztelanki, stał się jej wiernym cieniem na cały wieczór. Pod koniec

białego mazura, w którym przeszedł był samego siebie i wywołał szczyry entuzjazm na sali, dostał nagrody nie śnionej nawet, z ust swej tancerki nadobnej otrzymując dyskretne pozwolenie odwiedzenia ich rezydencji letniej, położonej w pobliżu Kamieńca. Skorzystał z tych zaprosin ani mógł, ani śmiał dotąd. Dopiero w przeddzień swego wyjazdu, myśl zuchwała załęgła się w najtajniejszej skrytce duszy, i teraz, z każdą wiorstą przebytą, cudowna pokusa zboczenia coraz zdradliwiej jęła podpełzać i usidlać rozgorzałe serce.

Upał się wzmagał, tumany siwej kurzawy wzbiły się nad gościńcem, przesłaniając lazurową dal stepu. Popas, o samym południu, wypadł w Zińkowie, i tu ulotne, błędne marzenia, niepewne podszepty serca stężyły w nieodzowny, niezmienny zamiar. Unikając wejrzeniem wiernych, przenikliwie czujnych oczu starego sługi, Cypryan oznajmił Gaudentemu, iż z polecenia wuja chorążego, w pewnej nieodzownej sprawie, nieodbić musi zboczyć do Kamieńca, jego zaś pieczy porucza brykę i bagaże w dalszej drodze ku Niemirowu, pod którym spodziewa się naścignąć swój wolno posuwający się tabor. W ten sposób uładziwszy sprawę, ledwie, ledwie zdobył się na cierpliwość, aby wyczekać odrobiny czasu, należną jego zdrożonemu wierchowcowi po przebytych marszu, zaczął własnymi, drżącymi od wewnętrznej gorączki, rękami okuliaczyl go, jednym susem dosiadł, i jak na skrzydłach wichru, wyniósł się z zasutej kurzawą miejscy na wolny, szeroki step, wprost ku południu.

W przegonach szalonego lotu, wciąż mu się

marzyło, że ściga po jasnych polach wizję przeuroczą, jawiącą się mu twarzą w twarz, a jednak tak pierzchliwą, że wbrew najognistyszemu pragnieniu serca, nie był w stanie ułoić chciwemi oczyma uroczej podobizny rysów dziewiczych, dosłedzić uśmiechu ust, wyrazu źrenic przejasnych... Zaciekał się napróżno myślą rozplamioną w najgłębsze tajniki wspomnień, twarz jej pozostawała zawsze jednako cudną, lecz nieodgadnioną, jakby ledwie, ledwie zapamiętaną we śnie, wnet roztapiającą się w słońcu, lazurze, sinej dali, za każdym objawieniem się poznawaną bardziej wzruszeniem niewysłowionem serca, niż twardem spojrzeniem olśnionych źrenic. W tej pogoni nadaremnej za marą nieuchwytną, której drogie, niezbadane rysy napróżno starał się nieudolnemi oczyma wyrzeźbić dla mdlejącej z tęsknoty duszy, upłynął mu długi, wiosenny dzień i, u jego schyłku, Cyprian ujrzał się nagle u kresu swojej podróży, na zboczu stromego jaru, w którego głębi, obłany luną zachodu, śnieżystym puchem wiśniowym kwieciła się spokojna wioska.

Serce zamierało prawie w piersi z nieznanego wzruszenia, gdy zjeżdżał stępa z pochyłości wprost we wrota gościnnie rozwarłe okazałego dworu. I nagle trwoga ślepa i niezbadana, lęk dziecinny i nie dający się pokonać spadł nań, jak jastrząb na upatrzoną zdobycz, targnął ręką, która trzymała wędzidło... Jednak uciekać już było za późno: cała sfora psów wszczęła niesłychany hałas, z dziedzińca dostrzeżono przybysza, służba biegła konia odebrać.

Czczel jak we śnie, chwiejnymi krokami,

wstępował po szerokich kamiennych schodach na ganek, otoczony kolumnadą. Tam, rozparty wygodnie w poręczowym krześle, z łuką w ręce, siedział człek już niemłody, niski i krępy, z podgoloną wysoko czupryną, białą jak mleko, odziany po polsku, w którym Cyprian, od pierwszego wejrzenia, poznał gospodarza. Sulimitował mu się więc natychmiast z należytymi atencjami, pan Morski zaś, wpatrzywszy się pilnie w twarz gościa przez moment, strzepnął rękoma i zawołał wesoło:

— Jakże! Pamiętam, pamiętam wyśmienicie, jakeś waćpan rej wodził na redutach w Kamieńcu!.. Moje niewiasty często cię wspominały, jako wielce grzecznego kawalera i tancerza pierwszej wody. Radzi tu będziemy waćpanu. Proszę w progi.

Uprzejmym ruchem ręki zaprosił do wejścia i wiódł Czeczela, który jeszcze nie ochłonął z dziwnego wzruszenia, do wnętrza domu, przybranego po staropolsku, bez bijącego w oczy zbytku, jednak dostatnio i z gustem. Skażony smak wieku zbytku i zepsucia nie wdarł się do tej starej siedziby szlacheckiej, gdzie wszystko zdało się dyszeć niezrównaną wonią swojskości, prostoty, nieco surowego wdzięku. W bawialni, której bielone wapnem ściany były obwieszane starymi obrazami w szesnastych ramach, zaś modrzewiowe tafle posadzki wyścielały wspaniałe wschodni kobierce, kasztelan usadowił gościa w krześle o wysokiej poręczy, rzeźbionej misternie w swojskim dębie, sam zajął miejsce naprzeciw i z łulki nieodłącznej pociągnawszy wonnego dymu, zagadnął wręcz, bardzo jednak uprzejmie.

— Cóż waćpana, pozwolę sobie zapytać, spro-

wadza w nasze tu strony? Czy sama li tylko chęć poznania tych okolic, lub może wypadł waści jaki interes do grodu? W tym przypadku, radbym usłużyć, w czem mogę.

Czeczel, którego onieśmiały prawie niespodziewane względy i tak usłużna uprzejmość tego starca, otoczonego szacunkiem powszechnym i przytem senatora, jął coś bąkać o wdzięczności niezmierniej, że on tu jedynie dla złożenia atencji należyj ichmość państwu kasztelanostwu, że on tu właściwie po drodze, dążąc do głównej kwatery, w celu przystania do wojska, na ochotnika...

Pan Morski słuchał z dobrodusznym uśmiechem, lecz przy ostatnich słowach młodego gościa oblicze mu rozjaśniło się szczerą radością.

— Gadaj że mi tak odrazu, wasze! — zawołał, nadzwyczaj ożywiony. — Więc do generała Kościuszki, na wolontaryusza?... toś mi podwójnie miłym gościem i prawie bratem, nie tylko z kości, lecz i z ducha! W naszych czasach o ofiarę szczerą ze krwi dla Ojczyzny coraz trudniej... Piękną rzecz przedsięwiesz, młodzieńcze — ani słowa! Pójdź, niechże cie uściskam.

Uściśnął serdecznie ramię Cypryana, poczem, naraz coś sobie przypomniawszy, zawołał:

— Czekajże! Jedziesz wprawdzie na wolontaryusza, wszelako przyda ci się protekcyja u Kościuszki. Dam ci listy polecające cię ze wszech miar jego względom... Zaraz je wygotuję.

Czeczel, oszołomiony nieco tym wylewem uczuć ze strony kasztelana, skłonił się, lecz jednocześnie rzekł:

— Znam generała osobiście, z czasu jego kwatunku w roku przeszłym w Międzybożu, gdzie często bywał w domu moich opiekunów, chorągwa Żydaczowskich, przebywających podówczas również w tem miasteczku. Już wtedy pan generał zachęcał mnie do wojska...

— Znasz Kościuszkę? — podchwycił kasztelan — tem lepiej, tem lepiej... Osobliwy to człowiek i żołnierz wielkiego serca, przytem gorący patriota ten generał amerykański... Tuszę, iż umiem poznawać ludzi, a znając przytem jego znakomite talenta i geniusz wojenny, oraz płomieniejące miłością kraju serce, przepowiadam mu przyszłość świetną i pełną chwały. Bodajby się tacy mężowie na kamieniu rodzili w tej naszej biednej Ojczyźnie!... — zakończył pan kasztelan głębokiem westchnieniem.

Uczciwe, szaro-błękitne jego źrenice zasnuły się jakby mgłą, znieruchomiały wbite w pustą przestrzeń. Moment tak siedział zastygły w zadumie i smętku, opuściwszy ruchem bezwładnym rękę z wygasłą lulką, z której szary popiół sypał się na wzorzysty turecki kobierzec, zaścielający posadzkę.

Czeczel oglądał się raz poraz na szczerlnie przymknięte drzwi od dalszych pokoi, usiłując stłumić w piersi zrywający się co chwila wybuch nieposkromionego wzruszenia. Serce — zamierało w piersi w męce niewysłowionej trwożnego oczekiwania. Tymczasem pan Morski ocknął się i jakby zdziwionemi oczyma spojrzął na gościa.

— Piękne, zaiste piękne przedsięwzięcie podejmujesz waćpan — ozwał się, nawiązując nie rozmowy i jakby goniąc jeszcze uchem ostatnie echa

znikających myśli, które przeciągnęły mu przez duszę posępnym obłokiem.—Nie dziw się waćpan memu wzruszeniu, z jakim przyjąłem wiadomość o twoim zamiarze — zaczął z innego tonu, jakby czując potrzebę usprawiedliwienia się — boć, zdawałoby się, coś słuszniesze nad to, że krewka młodzież rwie się do szabli?... Aleśmy dzisiaj na takie przyszli czasy, gdy każdy, ktokolwiek ma jeszcze na względzie profit Ojczyzny, za osobliwie enotliwego uchodzić powinien, a coś dopiero ów, co dla niej krew i życie nieść gotów w ofierze?... Nie powiem, iżby już wszyscy w narodzie byli źli, przewrotni, sprzedawczyki i zdrajcy, ale wielu jest zbłąkanych i otumanionych, którzy błądzą w ciemności, nie mogąc wyjść na prostą drogę, wiodącą ku powszechnemu dobru. Nigdyśmy nie grzeszyli jednością, aleśmy też nigdy nie byli rozdzieleni na tyle przeciwnych obozów i frakcyi, jako dziś, kiedy właśnie najwyższe okoliczności wymagają zgody, spólnego porozumienia się, zjednoczonego działania wszystkich sił narodu. Stał się już cud wielki, żeśmy się ocknęli z owego letargu, który tak długo ducha narodu trzymał w odrętwieniu... lecz zaledwieśmy myśleć zaczęli o naprawie Rzeczypospolitej, ledwie ów sejm chwalebny przedsięwziął środki ku podźwignięciu się przez uchwalenie nowej konstytucyi, przez poprawę rządu, aukeyę wojska—gdy matactwa ościennych dworów kładą tamę skutecznieniu tych środków zbawiennych, gdy obca przemoc wdziera się w progi naszego domu, aby popsuć tak mozolnie dźwigający się porządek, aby znów nas zepchnąć na samo dno bezrządu i niemo-

cy... I gdybyż-to tylko przemoc obca, lecz, o zgrozo! — oto własni synowie tej Ojczyzny, dygnitarze, którzy z urzędu stróżami być winni nietykalności jej granic, własnoręcznie otwierają na ścieżaj jej wrota, sami wzywają nieprzyjaciół przeciw własnej matce!... Oto wynikły w oczach naszych zawiązek tego wrzodu ohydneho na chorem ciele Rzeczypospolitej, który ropą przekupstwa i zgnilizny zatrutwa żywotne soki w całym organizmie i kopie niechybny grób dla nieszczęsnej Ojczyzny... O, czy myślisz waćpan, że tę hańbę zmyją kiedykolwiek strumienie krwi, wylanej przez lepszą część narodu, że tę plamę zetrze stopa pokutnicza czasów, które nadejdą w żalobie?... O nie, zaiste!...

Cypryan patrzył zmartwiałemi oczyma na trzęsącą się w bezsilnej żałości sędziwą głowę kasztelana, jednocześnie jednak czujnem uchem łowił szmer, niedosłyszalny prawie, po za drzwiami, na którego odgłos serce zadrgało mu w piersi szalonym tętnem, niby przeczuciem mającego się wnet objawić szczęścia. Jakoż, drzwi się rozwarły cicho, wówczas właśnie gdy Morski mówił:

— Daruj, waćpan, żem cię zmusił do wysłuchania gorzkich żalów. Lecz oto nadechdzą moje niewiasty. Tuszę, że one zabawią cię lepiej od smutnego starca.

Wehodziły do pokoju panna Morska oraz druga osoba, starsza wiekiem, ciemno i skromnie odziana, wyglądająca na ubogą krewnę. Cypryan podniósł wzrok na kasztelanekę i—doznał jakby olśnienia. Ta sama twarz, która dotąd mglisto i niewyraźnie rysowała się w jego pamięci, teraz jawiła

się przed nim w pełnym blasku urody nieznównej ani dającej się wysławić. Wrażenie przecudowne, zdumienie pełne ekstazy na widok ucieleśniającego się w oczach snu, najtajniejszego marzenia o szczęściu, które się przyobleka w kształt żywy i widzialny, przeszło serce dreszczem rozkoszy, prawie bolesnej. Duszą upragnioną chłonał najdrobniejszy szczegół, najsekretniejszy wdzięk jej lic i głowy, obciążonej przepychem kruczych warkoczy. Szpiegostwem tajemnem złodziejskiego wzroku wysledzał każdy, najbardziej dyskretny przebłysek ognistej żrenicy z pod ciemnych, opuszczonych rzęs, kradł dla siebie cień uśmiechu, w samej chwili jego narodzin na żywym koralu ust świeżych o niewypowiedzianym wdzięku, przez który, jak miesiąc po przez mgłę, przebierał się subtelny smutek serca dziewiczego. Przez jeden moment poznał i zabrał sobie na własność niezbadaną tajemnicę jej urody, najsekretniejszy powab jej lic, postaci, ruchów, wejrzenia, głosu, pierwej niemal, zanim usłyszał jego dźwięk. W hołdzie niemym i wiernopoddańczym aż do śmierci, rzucił przed nią na klęczki swoją duszę, korzącą się wobec wszechwładzy i majestatu piękna. Jakby przez tuman mgły, pełnej czadu odurzającego olśnienia, słyszał uprzejmy głos Morskiego, zwrócony do córki:

— Przypomina się twej pamięci, Krzysiu, dawny twój tancerz z redut kamienieckich, dziś świeży wojak w obronie dobrej sprawy. Poruczam go twojej opiece, póki nie załatwię swoich interesów codziennych.

Wyszedł z temi słowy, zaś panna Krzysia

uprzejmym i pełnym wdzięku ruchem głowy odpowiedziała na niski ukłon gościa.

Gdy usiedli, pierwsza zaczęła rozmowę pytaniem, czy od czasu owych pamiętnych redut bywał w Kamieńcu, czy się mu podoba ta okolica i czy zamieszkuje piękniejszą? Cypryan odpowiadał krótkimi wyrazami i nie zawsze najwłaściwiej do sensu, nie zbyt szczęśliwie podtrzymując dyskurs, gdyż, zamiast skupić uwagę na treści, bezustannie powtarzał sobie w myśli olśnionej: więc to tak ona wygląda, taką ma twarz, takie włosy, więc tak się uśmiechają jej usta, tak patrzą przecudne żrenice, tak dźwięczy głos... I w owym ciągłym stwierdzaniu właściwości niezrównanych jej urody, zachowania się, mowy, odnajdywał źródła nieustannej rozkoszy, pełnej zdumienia... Jednak, mimo tak rozstrzelonej uwagi, Cypryan niebawem zdał sobie sprawę, że panna Krzysia, wiedząc ten dyskurs potoczny tak wygląda, jakgdyby jednocześnie myślała zupełnie o czemś innym, jakgdyby po za zasłoną treści błahej powszedniej rozmowy, przesuwali jej się przez duszę... nieustannie obrazy zgola inne, bardziej godne uwagi, niepowседневne. Łatwo to było poznać po lekkim obłoku cudnych zamyśleń, który wbrew widocznej chęci ożywienia rozmowy, nieustannie osiadał na twarzy, po mglącej się chwilami głębi ciemnych, przeuroczych żrenic.

W pierwszej chwili, gdy dyskurs, nieudolnie podtrzymywany, widocznie poczał słabnąć, panna Krzysia wstała, z niezrównanie wdzięcznym ruchem pokonywanego lenistwa, i zapytała gościa, czyby nie zechciał obejrzeć wspólnie parku, który o tej

porze dnia, jak zapewniała, pełny był czarodziejstwa wszechmocnej wieszczki—wiosny.

Po stopniach werandy wetroje zeszli do kwitnącego wirydarza, gdzie, ujęte w ramy zwartego szpaleru krzewów ligustru, zaokrąglały się wdzięcznie klomby i grzędy, pełne różnobarwnego kwiecia.

Po białych węzownicach sypanych mialkiem piaskiem drózek, krążyli czas jakiś pośród rozkwitconych wysepek i oaz, migających tęczami kwiatowych płatków, odurzeni czadem mocnych aromatów. Panna Krzysia przywołała ku sobie ogrodniczka, kręcącego się z polewaczką w ręku opodal, i wskazała mu, które rabaty przedewszystkiem zwilżone być powinny. W pewnej chwili, podnosząc z nad kwietnika swoją słodką twarz, odezwała się do Cypryana z uśmiechem cichym, pod którym się czaił niedościgły smutek:

— Waćpan sobie zapewne lekceważysz nasze zabiegi i zatrudnienia białogłowskie. Jednak bez kwiatów byłoby na świecie gorzej, chmurniej i smutniej... My obie z Dorotką troskliwie pielęgnujemy kwiaty. Dawnośmy już nie mieli deszczu, i, gdyby nie nasza tu opieka, zwiędłyby i uschły przed czasem. Zresztą, — dodała z nieprzeniknionym uśmiechem — jedyne to moje zatrudnienie, które mam sobie za zasługę i pożytek...

Pochyliła głowę i obłok smętnej zadumy mgłą nieodgadnioną przesłonił jej twarz. Weszli w mroczną, szeroką aleję, gdzie prastare graby dźwigały szaro-srebrzyste, zwarte swe kolumny ze strou obu, wiążąc się wysoko u góry w zielone, nieprzenikliwe dla światła sklepienie. Tylko u odległego wy-

lotu tej mrocznej, kolumnowej nawy żarzyła się smętnie dogasająca żagiew zorzy, niby daleki ołtarz krwawej, bolesnej ofiary...

Panna Dorota zabawiła się przy ogrodniczku i klombach kwiatowych, więc oni oboje szli w głąb ulicy grabowej, z oczami utkwionymi w zorzy dogasającej, mając dusze pełne wzruszenia niepojętego wśród tej świątyniowej ciszy.

W pewnem miejscu panna Krzysia zatrzymała się i, podnosząc na Cypryana cudne źrenice z dziwnym, nieodgadnionym wyrazem, głosem wzruszonym odezwała się:

— Słyszę, że jedziesz waćpan zaciągnąć się do wojska... Mogę zapytać, co waćpana skłania do obrania stanu żołnierskiego: — własna-li chęć i wola, czy też może przypadek lub przymus postronny?

Cypryan spojrzał wprost w jej twarz swojemi szczeremi oczyma.

— Po części z własnej ochoty, po części skłoniony będąc namową generała Tadeusza Kościuszki, do którego głównej kwatery właśnie jadę — odpowiedział twardo, jakgdyby wymawiał rotę przysięgi.

Więc ona znowu, głosem, pełnym drzeń nieuchwytnych:

— Wiem od ojca, w jak ciężkiej potrzebie pozostaje dziś nasza biedna Ojczyzna... jak jej dziś brak synów, którzyby zastawili się odważnie za jej cześć, honor, niepodległość... Rozumiem, że dziś każdy, ktokolwiek staje w jej obronie przeciw przemocy obcej lub niecnej zdradzie jej dzieci wy-

rodnych, jest godzien najwyższej pochwały, hołdu uwielbienia... Zasługuje na zaszczytne miano bohatera... Dlatego... — tu głos jej zadrżał wyraźnie i opadł o jedną oktawę — pragnę wyznać, że i ja dla waćpana żywię... te same sentymenty... skoroś waćpan dla Ojczyzny gotów... krew i życie... — dokończyła pośpiesznie, ostatnim tchem mdlejącej ze wzruszenia niewysłowionego piersi.

Twarz jej zbladła i stała się cudna i wiotka, jak srebrny opłatek, głab żrenie była rzewna i zasnutą mgłą. W tym momencie wizya wyczuta przyszłości odległej i niezbadanej mroźnym dreszczem wstrząsnęła Cypryana. Zeicha, w zadumie głębokiej powtórzył:

— Krew i życie...

Nagle spotrzegli, że się ku niemu przewija dłoń drżąca, biała jak lilia i usłyszał głos, łamiący się z wysiłku, pełny łez:

— Niechże waćpana Bóg ma w swej pieczy...

Ujął tę dłoń i z sercem, zamierajacem prawie w uścisku wzruszeń, przycisnął ją do ust wyziębłych i martwych, jak kamień. Jednocześnie, tuż nad sobą, słyszał pełną męki pracę zniemożonej na śmierć piersi dziewczęcej, targanej łkaniem, czuł bezsilne pochylenie się głowy bolesnej, znikomy dech ust na swem czołe, zapach odurzający włosów, który obuchem ostrej rozkoszy zagnęła uderzył zmysły zmartwiałe...

Wówczas wyprostował się, czując w sobie wszechmoc zmartwychwstałego serca, otoczył i przycisnął ku piersi silnem ramieniem jej kibić złamaną i wiotką, pochylił swoją twarz nad jej twarzy-

czką zbladłą, bez kropli krwi, i w uniesieniu bezpamiętnem szeptał:

— Może-ż to być, byś mi była przychylną, byś mi sprzyjała sercem szczerem Krzysiu?... Na Boga! powiedz, bo mi się jeszcze zdaje, że śnię... bo nie mogę jeszcze uwierzyć szczęściu swemu!... Powiedz, jakimże cudem nadziejskim przejrzałaś serce moje do dna, które bije ku tobie każdą kroplą krwi, od pierwszej godziny poznania i bić nie przestanie do ostatniego tehu... Jedyna moja! Powiedz!...

A gdy milczała, nie podnosząc głowy, złożonej na jego rozdętej szczęściem piersi, pozwalając cichym, radosnym łzom spływać po swej twarzy z pod przymkniętych powiek, Cypryan zbliżył swe usta i jął wypijać pocałunkami te kropelki jasne, tę rosę cichego szczęścia, wynikłą z najtajemniejszych krynic serdecznych.

Naraz szelest kroków ozwał się w pobliżu. Panna Krzysia bez tehu wyrwała się z ramion Cypryana, który stanął jak słup, z zastygłym w piersi sercem. O kilka kroków od nich stała panna Dorota, zmartwiała ze zgorzenia, roniąc z rąk na ziemię świeżo zerwane pęki kwiatów.

Lecz panna Krzysia zwróciła ku kuzynce twarz, rozświeconą cichym uśmiechem i rzekła, ujmując jednocześnie dłoń Cypryana:

— Pójdź ku nam, Dorotko —... Oto jest mój narzeczony.

W głównej kwaterze.

Przybywszy do Niemirowa, Czeczcel wpadł odrazu w sam war życia obozowego, jakie kipiało w głównej kwaterze obudwu dywizji ukraińskich wojska polskiego, kijowskiej i bractawskiej. Zaraz tego samego dnia, mimo późnej już pory i jak był z drogi, udał się wprost do kwatery generał-majora Kościuszki, który podówczas w zastępstwie nieobecnego naczelnego wodza ks. Józefa Poniatowskiego, miał poruczoną sobie komendę nad całym owym korpusem. Po drodze i już przy samem wejściu ocierał się na każdym kroku o oficerów służbowych, o ordynansów, śpieszących z rozkazami do najdalszych komend kresowych, o wracające z wywiadów pikiety, o kuryerów i gońców. Nienawykłego do obozowego życia zgiełk ten, oraz widok błyszczących mundurów najrozmaitszej broni narazie jakby ogłuszył i oszołomił, wrażenie to jednak minęło rychło, natomiast z owej tężyzny, która pulsowała widomie w tem życiu, jednym haustem zaczerpnął

do piersi uczucie silne i męskie, jakby jedność ducha. Śmiało więc wtargnął do obszernego przedpokoju, łatwo przepuszczony przez wartę, lecz tu na życzenie widzenia się z Kościuszką usłyszał od służbowego oficera krótką odpowiedź, że generał jest obecnie wielce zajęty, więc, jeśli nie przybywa w pilnym interesie służbowym, winien zaczekać w antykamery parę godzin. Jakoż tyle zapewne upłynęło czasu, w ciągu którego przesunęło się przed oczyma Cypryana mnóstwo oficerów i ordynansów tam i napowrót, zanim ruch powoli ustał i wreszcie oficer wskazał Cypryanowi drzwi, oznajmując, że teraz może się widzieć z generałem Kościuszką.

Cypryan minął parę pokoi pustych i już sam nie wiedział, dokąd się ma dalej obrócić, gdy z za niedomkniętych drzwi bocznego pokoju doszedł go głuchy szezeł kul-bilardowych. Uchylił podwoje i obaczył przed sobą dwu mężczyzn, zajętych grą na niedużym bilardzie. Jednym z grających był oficer młody, czarniawy, wysokiego wzrostu, drugim sam Kościuszko, oddający się z zapalem rozrywce ulubionej w chwilach pozasłużbowych. Rzucił wzrokiem na niespodzianego przybysza i wyraz szczerzego zdumienia odmalował się na jego twarzy.

— Czeczcel, ledwie mogę oczom wierzyć! — wykrzyknął z akcentem radości nieklamnej. — A to mi szczerą niespodziankę sprawiłeś waćpan swoim przyjazdem! Witaj, witaj!

Odrzucił z rąk kij bilardowy i, żwawo podszedłszy do młodzieńca; wziął go w ramiona. Ścisnął go serdecznie, pytał żywo.

— Zkądże waćpan przybywasz?... Czy prosto z Czaplic, od chorągwa?... Jakież nowiny?...

I nagle myśl szybka, jak objawienie cudu, olśniła go błyskawicą przeczuć niewymownych. Zleka zbladł i twarz mu się przemieniła w dziwnem wzruszeniu.

— Czy masz waćpan dla mnie jakie nowiny?... zapytał zmienionym głosem.

Obie dłonie trzymał na jego ramionach, patrząc w głąb jego źrenic niespokojnie, badawczo.

Lecz Cypryan, mimo tak serdecznego przyjęcia i zażyłych stosunków z roku ubiegłego, wyprostował się służyście, jak przed naczelnikiem, i wyrecytował:

— Przybywam w zamiarze zaciągnięcia się do wojska, na ochotnika, stosownie do rad pana generała, łaskawie mi udzielonych jeszcze w Międzybożu...

Coś, jak cień bolesnego zawodu przemknęło po twarzy Kościuszki, zatłone niezwykle promieniem źrenice zgasty. Ręką przesunął po czole, jakby zbierając myśli.

— Tak, tak... przypominam sobie, że namawiałem waćpana do wojska—powtórzył głosem zmienionym.—Dobrześ uczynił, tu przybywając w tym czasie.

Zwrócił się do oficera, który stojąc na uboczu, przypatrywał się scenie powitania.

— Zaznajomię waćpanów: pan Czeczol, stolnikowicz latyczowski, pan porucznik Fiszer, mój adiutant.

Obaj młodzieńcy podali sobie dłonie, zaczęł Kościuszko zagadnął Cypryana.

— Cóż słyhać u chorągwa Żurowskich? Jak się miewa pan chorąży, cały dom?...

— Wszyscy w dobrem zdrowiu, panie generale. Mam tu przy sobie listy... — macnął się Cypryan po zanadrzu, rzucając jednocześnie ukośne spojrzenie w kierunku Fiszera.

— Masz dla mnie listy? — ożywił się nagle Kościuszko.—Mówże mi tak waćpan odrazu. Chodźże za mną, pragnę cię wypytać o wiele rzeczy.

Poprowadził Cypryana w głąb pomieszkania, do zacisznej alkowy, służącej za sypialnię, przymknął drzwi i zwrócił się do niego, już nieukrywając wzruszenia:

— Dawajże listy, na Boga! bo mi się ręce palą... kto pisze?—Cypryan dobył dobrze ukryte w zanadrzu, i podawał pismo Teklusi oraz pakiecik, zawierający relikwiarzyk. Kościuszko drżącymi widocznie palcami rozerwał list i jał go odczytywać prawie jednym tchem, mieniając się ze wzruszenia na licach.

Cypryan z pod oka obserwował grę nieustanną wzruszeń na ruchliwej i wymownej twarzy Kościuszki, widział, jak w pewnej chwili na jego ustach, ściągniętych skurem niewiadomej siebie boleści, pojawiał się i znikał smutny uśmiech rewności niewysłowionej, wytryskującej z najgorętszych źródeł serca, niby spóźniony, beznadziejny goniec za marą pierzchającą niedościgniętego szczęścia... jak smutne, głębokie źrenice zachodziły ciemną mgłą żalu bezdennego...

Kościuszkę złożył list i sięgnął po złoty relikwiarzyk, z którego wnętrza rozbłysło jasne pasemko włosów, związane wstążką niebieską. Patrzył na nie przez moment z cichem rozrzwinięciem, potem, w milczeniu, przycisnął do ust...

W pewnej chwili ocknął się i z cichym, niemal wstydliwym uśmiechem do Cypryana się zwrócił:

— Wybacz, waćpan—rzekł serdecznym, ujmującym głosem—żem się tak oto zapomniał i roztkliwił w twojej obecności... Ale wszak cię nie mam za obcego — wówczas byłeś z nami i patrzałeś na wszystko... nie mieliśmy oboje przed tobą tajemnic... a to są już ostatnie pamiątki i jakby głosy anielskie tamtych szczęśliwych czasów... Wiesz, waćpan — mówił po chwili — gdym cię dziś ujrzał tak niespodziewanie u siebie, na moment mi błysnęła szalona myśl, że może jakim cudem odmieniło się wszystko złe, że chorąży zmiękł, że przybywasz odeń jako zwiastun pojednania... Ano — szalona to była nadzieja... widzę dziś, że dziwactwo losu na zawsze szczęścia mi wzbrania!...

Umilkł, tłumiąc w męzkiej piersi westchnienie. Wówczas Cypryan przypomniał sobie, że spełnił dopiero w połowie polecenie Teklusi, więc, zebrawszy myśli, począł powtarzać ostatnie wyrazy dziewczyny. Kościuszkę słuchał w rzewnym skupieniu tych wyrazów prostych i w swej szczerości prawie nieudolnych, z których jednak wionęła nań cała dusza biednej chorążanki.

— Biedne, biedne dziecko... — przemówił głosem szczerze wzruszonym — ofiara niewinna uporu i przesądu rodzicielskiego... Niechże Opatrzność

w płaszcz szczęścia zupełnego obwinie jej smutne serce, które umie kochać tak stale i dochowywać wiary tak święcie. Skoro ją ujrzysz waćpan, powiedz jej, że i dla mnie one wspomnienia pozostaną na zawsze jednako drogie, i święte i że je w sercu wiernie do grobu zachowam...

Umilkł i zapadł na moment w smętną zadumę. Lecz otrząsł się z niej rychło i odezwał się do Cypryana już spokojnie:

— Pomówmy teraz o waćpanu. Dobrześ, powtarzam, uczynił, przybywając w tym czasie. Nie jest to już tajemnicą żadną, że kampania otwiera się lada dzień. Sledzę pilnie ruchy wojsk moskiewskich, rozłożonych wzdłuż całej naszej granicy i wiem z pewnością, że generałowie rosyjscy już otrzymali z Petersburga od carycy rozkaz wkroczenia do Polski. Cała bieda w tem, że nie bardzo mogę poczynąć na własną rękę operacji wojennych, zaś księcia Józefa, przy którym jest władza naczelną nad wszystką tą siłą zbrojną, król dotąd trzyma w Warszawie, dla uczczenia obchodu rocznicy Trzeciego Maja. Mówię o tem wszystkiem waćpanu, abyś wiedział, że nie za długo możemy być w ogniu, abyś przeto skorzystał z niedługiego już czasu dla otarcia się z życiem i praktyką żołnierską. Codziennie tu się odbywa exerceunek połowy wojsk wszelkiej broni, od którego waćpan, jako ochotnik, *de facto*, jesteś wolny. Najusilniej jednak zalecam waćpanu, byś się tym wszystkim ćwiczeniom pilnie przypatrywał i w miarę możliwości, udział czynny w nich brał, o czem dam zawiadomienie do odnośnej komendy regimentu, do którego przydzie-

lony zostaniesz. Pamiętaj o tem, że żołnierz, choćby miał w sobie największego ducha obywatelskiego, bez znajomości onego rzemiosła nazawsze lada jakim wojakiem zostanie. Ojczyzna potrzebuje nie tylko szczerze ją miłujących rycerzy, lecz i wyćwiczonych przytem w twardej szkole służby. To chciałem waćpanu powiedzieć.

Cyprian wyciągnięty, z oczyma wlepionemi w twarz Kościuszki, słuchał jego słów z sercem nabożnem, jak przykazań wiary. Jednak, będąc zdruzgotany okrutnie, nie mógł temu zapobiedz, by powieki, ciężące mu szczerym ołowiem, nie opadały co raz i nie kleiły się sennie.

Dostrzegł to Kościuszko i zapytał z uśmiechem, gdzie stanął gospodą. Usłyszawszy nazwę lichego żydowskiego zajazdu, zastanowił się przez moment i tonem serdecznym powiedział.

— To przenieś się tu waćpan do mnie. Będzie ci tu dogodniej, mnie zaś miło będzie w chwilach wolnych pogawędzić z waćpanem o czasach minionych... No, idź już waćpan, bo mi tu stojąc zaśniesz.

Przed wymarszem.

Nazajutrz Cyprian Czeczela został przydzielony do pułku przedniej straży szefostwa X. Lubomirskiego i zaczął się gorliwie wdrażać w twarde tryb życia obozowego. Teraz całe dni spędzał na błoniach, które się rozszerzały za miasteczkiem, aż ku podkowie odległego lasu, przyglądając się odbywającym się tam nieustannie ćwiczeniom oddziałów pieszych i konnych, handgrifowi, przerabianemu podług regulaminu nowego, exerceerunkom z ogniem parków artyleryjskich, atakowi bagnetowemu, szarżerunkom w natarciu i cofaniu. W szczerzy podziw wprawiały niedoświadczonego wolontaryusza sprawne i zgodne zwroty półbatalionów, błyskawiczna zmiana frontu, formowanie i rozwijanie się kolumn w marszu, formowanie trójkątu i czworoboku misterne półzwroty przy zachodzeniu kolumny sekcjami, to znów eugami — a to wszystko przy grzmiejących dźwiękach orkiestry wojskowej, wśród krzyżujących się okrzyków komendy donośnej. Rzeźki

odgłos trąbki, wydzwanającej pobudkę po rannej rosie, przenikał jego serce, jak zew niewysłowiony, budzący dreszcz ostrej rozkoszy. Widok pułku kawalerii, przelatującej w szarzy tuż obok niego z gromowym tętentem tabunnym, z furkotaniem i szelestem barwnych chorągiewek, w przeraźliwym blasku wzniesionych w górę pałaszy zapierał mu oddech w piersi i porywał potężnym wichrem mroźnego zachwyty, jakby porywczem skrzydłem zbudzonej chwały... Od czasu do czasu, po świeżej zieloności błonia, pośród pstrocziny barwnych oddziałów przeróżnej broni, Cypryan rozróżnionymi na śmierć oczyma upatrywał zdala białego rumaka, przelatującego od regimentu do regimentu, od szwadronu do szwadronu, a na nim w generalskim mundurze artylerzysty Kościuszkę, wywołującego pojawieniem się swoim wszędy gromkie salwy radośnych okrzyków.

Gdy przychodziła kolej ćwiczeń na jego szwadron, Cypryan stawał na swoim Sultanie w szeregu i z gorliwością nieprzepartą usiłował swoją niedolność nowicyusza nałamać do sprawnego wykonywania zwrotów i wolt, według słów komendy. W kilka dni, dzięki tym usiłowaniom nieustannym i uporczywej myśli, zwróconej wciąż w jednym kierunku, przedzierzgnął się prawie w żołnierza, z natury silny i gibki, nabrał postawy wojskowej i, doświadczony z fantazją szlachecką swego złotego kasztana, mógł uchodzić od biedy za kawalerzystę i nie być zaklątą towarzystwa, wszystko chłopów na schwał, śmigłych i butnych.

Gdy wieczorem, zmordowany i okryty kurzem,

powracał do swej kwatery, zdarzało się nieraz, że zostawał przez ordynansa wzywany do Kościuszki.

Generał-major, po skrupulatnem dopełnieniu powinności służbowych dnia, w zaciszu własnego mieszkania zrzucał z siebie powłokę urzędową i pozostawał wówczas człowiek prosty i cichy, skłonny do tkliwych wzruszeń, który nigdy nie miał dosyć gawęd o domu chorągwa Żydaczewskich, gdzie wszystko jakby blaskiem i wonią niezrównaną myrry napełniała obecność panny Teklusi...

Wreszcie, tak niecierpliwie wyczekiwany przez Kościuszkę, nadążył z Warszawy do Niemirowa ks. Józef Poniatowski, a wraz z nim generałowie Pouppart i Wielowiejski. Cypryan, który w świetle Kościuszki wyjechał na spotkanie generał-lejtnanta i zarazem naczelnego wodza, ujrzał młodego oficera urody niezwykłej, postawy wyniosłej i pełnej niewysłowionego wdzięku, przybranego w świetny mundur pułku konnego przedniej straży, którego był szefem. Cypryan utkwiał cheiwy wzrok w tej postaci i już nie miał mocy oderwać od niej źrenice olśnionych. Poznać było można, że ten świetny oficer nie tylko ujarzmił swe otoczenie urokiem najwyższego dostojęstwa, lecz wprost czarował własną osobą. Chwymano każdy, najdyskretniejszy gest jego ręki, najsubtelniejszy szczegół niezrównanego obejścia, wymykający się szpiegowskiej uwadze ruch lub wejrzenie urocznych źrenic, nie już jako nakaz władzy, lecz jako cudowne objawienie łaski piękna, budzące rozkosz najżywszą. Książę Józef, przywitawszy generałów kolejno i wysłuchawszy od Kościuszki raportu służbowego, wraz

ze swiatą udał się wprost na plac ćwiczeń, dla dokonania rewii generalnej zgromadzonych sił zbrojnych.

We dwa dni^{***} potem nagle w całym wojsku gruchnęła wieść, że główna kwatera otrzymała od komendantów kresowych prawie jednocześnie raporty o wkroczeniu w granice Polski wojsk rosyjskich.

Czczel, mając tego jeszcze wieczoru sposobność widzenia się z Kościuszką, zastał generała żywo poruszonego po tylko co odbytej radzie wojennej. Nie ukrywając rozdrażnienia, Kościuszko odezwał się do Cypryana wręcz:

— Zaczynamy wojnę od błędu, którego, daj Boże, by nam nie przyszło gorzko żałować. Zamiast uderzyć odrazu wszystkimi naszymi siłami na pojedyncze korpusy rosyjskie i zgnieść je po kolei, dzielimy się na osobne dywizye, z których żadna nie będzie w stanie skutecznie odeprzeć odpowiedniej kolumny nieprzyjacielskiej. Bóg widzi, że nie ambicya zdrażnięta cierpi we mnie—mówił z głębokim żalem w głosie—ale boleję szczerze nad tem, że odrzucono plan, któryby nam ubezpieczył niechybne zwycięstwo.

Wkrótce sens tych słów objawił się Cypryanowi w pełnym świetle.

Wojska rosyjskie, okryte świeżemi jeszcze laurami zwycięzko zakończonej wojny z Turcyą, wkraçały do Polski trzema drogami: pod Dubossary, poniżej Tehini, pod Soroki i pod Mohylów. Książę Józef przeciwstawił im trzy odpowiednie korpusy, na jakie podzielił swoją armię: generałowi Wielhor-

skiemu kazał stanąć pod Czeczelnikiem, podpułkownikowi Grochowskiemu pod Mohylowem, sam zaś stanął pod Braclawiem. Z głębi Rosyi, od wschodu, ciągnęły pułki pod Wasilków pod generałem Lewanidowym, naprzeciw któremu, pod Fastowem, otrzymał rozkaz stanąć Kościuszko.

Cyprian Czczel, jako należący do tej dywizyi, wraz z nią począł się gotować do śpiesznego wymarszu. Jakoż 15 maja już ta dywizya była w drodze. Marsz wypadł z Niemirowa na Winnicę, Samgródek, wprawo do Lityna i trwał dwa dni.

Chorągwie i bataliony ciągnęły, wśród cudnej, nieco nazbyt gorącej pogody, bitemi drogami, tonąc w obłokach pyłu.

Młody wolontaryusz pod owe dni, znajdował się w stanie nieustannego uniesienia. Na widok tych pól bezkresnych, runiących się bujnie jasnymi zbożami, tych cichych wiosek, tonących w puchu wiosniowego kwiatu, obok których przeciągały szwadrony, na widok tej ziemi i nieba, swojskich, przeuroczych i nie zamienionych, zrywała się w duszy miłość gorąca, utwierdzało się postanowienie mocne i niezlomne, jak śmierć. Łzy podchodziły pod gardło, w uciśniętej piersi wrzał głuchy, bohaterski war...

Przybywszy na wyznaczone miejsce, Kościuszko wytknął obóz o dwie mile od Berdyczowa, w klinie, utworzonym przez rzeczki Kicanę i Hujwę. Linia jednak wojsk wyciągnęła się znacznie dalej, aż do Tetyowa, gdzie stanęły dwa szwadrony Kawalerii Narodowej z brygady Lubowidzkiego, batalion fizylyerów, pułk 5-ty lekkiej jazdy pułownika Kamińskiego, oraz batalion regimentu Pio-

tra Potockiego, starosty Szezerzeckiego. Tak rozłożywszy dywizję, Kościuszkowski wysłał poręczników Kniaziewicza i Fiszerę, na rekonesans ku granicy rosyjskiej, sam zaś wybrał się do Żytomierza w celu umówienia się z rezydującymi tam dwiema komisjami cywilno-wojskowymi o prowiant. Dni zaczęły schodzić monotennie, na ciągłych ćwiczeniach polowych, na wyczekiwaniu niepokojącem wieści od granicy. Pewnego wieczoru Kniaziewicz powrócił z podjazdu z wiadomością, że kolumna awangardy armii Lewanidowa przekroczyła granicę. Zaalarmowany wnet został cały obóz. Kościuszkowski wraz wysłał z tą wiadomością kuryera do księcia Józefa, sam zaś nazajutrz udał się do Tetyowa, dla skoncentrowania rozrzuconych na długiej linii oddziałów. Dnia 25 Maja wytknął obóz pod Pohrebyszczami, frontem do rzeki Rośni, ku Pawołoczy, gdzie już stanęła dwunasto-tysięczna kolumna Lewanidowa.

Cała dywizja Kościuszkowska, jaką on rozporządzał natenczas pod Pohrebyszczami, składała się z brygady II-giej Kawaleryi Narodowej Siemieńskiego, liczącej 1800 towarzystwa, z pułku Przedniej Strazy pod szefem Lubomirskim—około 1000 koni, z pięciu kompanii Artyleryi Koronnej, około siedmiuset głów liczącej, z batalionu fizylierów, sześciu batalionów pieszych szefostwa Gorzeńskiego, Raczyńskiego, Żlińskiego, Malczewskiego, oraz regimentu pieszego Teodora Potockiego, co stanowiło ogólnie najwyższą połowę siły, jaką rozporządzał generał rosyjski. Mimo to Kościuszkowski kazał sypać szanice, będąc zdeterminowany stawić czoło przeważającym

siłom nieprzyjaciela, gdy, tego samego dnia pod wieczór, rekonesans doniósł o zbliżaniu się od strony Pawołoczy nowej kolumny nieprzyjacielskiej pod generałem Derfeldenem.

Niebezpieczeństwo wydzwigało się wielkie, gdyż groziło oskrzydleniem i zupełnem osaczeniem szczupłej armii polskiej przez kilkakrotnie silniejszego nieprzyjaciela. Rozsądek i przezorność wodza nakazywały wycofać się jaknajśpieszniej z matni zdradzieckiej. Kościuszkowski wydał rozkaz zwijania obozu i odwrotu w kierunku Przyluki.

Pod krwawą zorzą ruszały szeregi polskie w cichości, trąbka nie zadzwieczała, nie zarżał koń... Na chwilę przed rzuceniem swego szwadronu, Cyprian widział Kościuszkę, przejeżdżającego przed frontem. Twarz wodza przed wzrokiem żołnierzy przybrała na się wyraz nijaki, pod którym urzeczone oczy Cypriana. wybadały zasmucenie czy troskę głęboką. I w tej samej chwili jego własną pierś uściśnął żal przejmujący do rdzenia serca. Gdy już ruszyli, pozostawiając po za sobą opuszczone obozowisko na błoniu mierzchnącym, uczucie to wzmogło się i rozparło wszechmożnie w najtajniejszych szelinach duszy. Gnębiący smutek odwrotu siał się z gwiazd omglonych tęsknej nocy, zaczynał w tajemniczych mrokach dąbrów przydrożnych, rozpraszał dokoła w niedocieczonej dali gładkiego jak tarcza stepu. Myśl gorzka i trująca w zarodku na śmierć wszelką otuchę wżerała się w mózg, chwytiała serce w żelazne kleszcze. Dzika, bezbrzeżna żałość rwała pierś w strzępy pazurami, ociekającymi szczerą, serdeczną krwią.

Marsz odwrotny trwał całą noc i dzień następny. Kościuszko wysłał przodem Kniaziewicza Fiszerę dla wybrania odpowiedniego miejsca i wytknięcia obozu, lecz nadszedł ordynans od Poniatowskiego, nakazujący dalszą rejteradę na Pików ku Ułanowu. W tym marszu, coraz bardziej uciążliwym dla braku furażu i prowiantu, nastąpiło spotkanie z kolumną generała Wielhorskiego, gdy zaś złączone wojsko dotarło do Ułanowa, zastało tam już ściągniętą dywizję Poniatowskiego. Obie dywizje ukraińskie, kijowska i braclawska, znów się ujrzały zebrane w zupełnym komplecie.

Anabazis.

Na radzie wojennej, która się odbyła pod przewodnictwem księcia Józefa, zdania oficerów co do dalszych operacji były podzielone zasadniczo. Przedewszystkiem odezwały się głosy, że należy korzystać z połączenia sił i natychmiast atakować nieprzyjaciela w Pawołoczy. Przemawiał za tym planem gorąco pułkownik Zawisza, weteran, dowodzący pułkiem piechoty starosty szczyrzeckiego, brygadyer Mokronowski, zdawał się również przychylić ku niemu Kościuszko. Drudzy, powściągliwsi, starali się wprawdzie wybiadać opinię wodza, komenderującego naczelnie.

— W Pawołoczy stoi obecnie nie więcej nad 20,000 Rosyan, — wnosząc z relacji generała Kościuszki, cyframi starał się poprzeć swój plan generał Mokronowski. — Są to, mniej więcej, siły równe naszym. Wszak mamy — według listy, udzielonej mi przez szefa sztabu (tu czytał): w komendzie G. M. Suffczyńskiego 2828 głów, w komendzie G. M.

Kościuszki—7225, w komendzie G. M. Czapskiego—3027 i G. M. Poupporta — 4006, ogółem 17,086 głów...

Zawisza targał niecierpliwie swego sumiastego, siwiejącego wasa, wreszcie nie wytrzymał i przerwał tubalnym głosem:

— Furda rachunek!... Tu trzeba brać pod rozwagę rzecz, która się tak łatwo obliczyć nie da: ducha żołnierzy. Dziś jeszcze animusz w całym wojsku czerstwy, nie zwątlony *dubitatione*, kunktorstwem, ciągłą rejteradą. Z tego ognia korzystać nam wypada, jeśli wogóle nie mamy zwątpić o zwycięstwie.

— Słusznie powiedziano, słusznie!... — ozwały się wokoło głosy co zapaleńszych.

Książę Józef siedział pogrążony w milezeniu, muskając od czasu do czasu swój śliczny, mały wąsik. Jego aksamitne, cudne źrenice tonęły w nieodgadnionej, melancholijnej mgłę. W pewnej chwili podniósł je i potoczył po obecnych.

— Słyszę powszechny prawie aplauz myśli, wyrażonej przez pułkownika Zawiszę. Czy kto z waszmościów nie uczyni jakowego zarzutu wymienionym tu przed chwilą planom?

Natychmiast ze swego miejsca powstał wicebrygadyer Świejkowski i żwawym krokiem podszedł do stolika, na którym rozłożona była mapa polowa.

— Zdaje się, że zapominamy o jednym — zaczął głosem pewnym i energicznym. — Zapominamy, że zanim staniemy w Pawołoczy dla zaatakowania generałów Lewanidowa i Derfeldena, w tym czasie korpus Tormasowa, maszerujący śpiesznie od Mo-

hylowa, zagrozi tyłom naszej armii i pokusi się o jej oskrzydlenie. Niebezpieczeństwu temu mogłyby zapobiedz jedynie silne rezerwy, umieszczone od strony Winnicy, któreby zdołały jakiś czas zatrzymać na sobie impet południowego korpusu rosyjskiego. W braku tych rezerw, cały ów plan atakowania nieprzyjaciela w Pawołoczy, dla wyżej wyrażonych powodów, uważam za nadto ryzykowny i oświadczam się przeciw niemu kategorycznie.

Oficerowie obstąpili kołem stolik, śledząc ruch ręki Świejkowskiego, wskazującej na mapie dyslokacje i przewidywane poruszenia wojsk rosyjskich. Dowodzenia wicebrygadiera były niezbite i przekonywające. Na chwilę zapadła cisza gnębiąca, z której wydzwignął się wreszcie rozgoryczony głos Mokronowskiego:

— Więc jakże? mamyż się cofać wciąż i wciąż, pozostawiając w mocy nieprzyjaciela najżyźniejsze, najbogatsze nasze prowincje? i dokądże będzie tej rejterady? kędyż jej kres?

Zwolna wszystkich oczy zwróciły się jakby w oczekiwaniu ku wodzowi naczelnemu. Poniatowski wciąż jeszcze siedział pogrążony w nieuchwytnie dumy. Nie podnosząc znieruchomiałych w zamysleniu źrenic, począł mówić, cedząc zwolna wyrazy:

— Podzielam słuszność uwag generała Świejkowskiego... Nie mając zabezpieczonych tyłów, atakowanie Rosyan w Pawołoczy byłoby hazardem bezużytecznym... Wiedzą przytem waćpanowie, że mam z Warszawy od króla oraz Komisyi Wojskowej rozkaz nie atakowania Rosyan przed połączeniem się naszym z wojskiem litewskim na Woly-

niu, lecz jedynie szkodenia im, gdzie się da, oraz utrudniania i bronięcia przepraw. W myśl tego rozkazu, widzę się zmuszony nakazać marsz dalszy na Lubar...

— Nie do chwały i nie do zwycięstwa doprowadzi nas w końcu ta rejterada — porywco, acz stłumionym głosem mruknął Zawisza, nasepiwszy krzaczastą, marsową brew.

Książę Józef wstał i w zamyśleniu począł krążyć po izbie obszernej tam i napowrót, ruchami wolnymi, o niezrównanym wdzięku. Jakby sam do siebie, jął mówić z cicha, głosem nieodgadnionym:

— Jest podanie o starożytnych Partach, że, cofając się, bili nieprzyjaciół... Tak i my, w naszym odwrócie, bić będziemy... Pokażemy światu, że odwrót niezawsze wiedzie ku przegranej i że niekiedy może być chlubny i pełen chwały...

— Daj to Boże! — z westchnieniem odezwał się Mokronowski. — Wolałbym jednak...

Poniatowski przystanął nagle przed nim i, wlepiwszy w jego oczy nagłym płomieniem zażegnane źrenice, porywco rzekł:

— Mości generale! Jako żołnierz przysięgły i honor kochający nadewszystko, i ja wolałbym, wierz mi waszmość, sam poszukać nieprzyjaciela w polu, aby go zwyciężyć, lub poledz za Ojczyznę z chwałą. Ale, będąc wodzem i mając sobie poruczone losy tego wojska i poniekąd losy naszej ukochanej Ojczyzny, nie mogę ważyć tak świętego depozytu na jedną kartę, gdy gra niepewna... Ze swoich czynności śmiało zdam odpowiedź przed Bogiem i przed moją władzą prawną, waćpanów

zaś upewniam, że nie narażę na szwank dobrego imienia i honoru nieskazitelnego polskiego żołnierza!

Z wyniosłego czoła, z płonących oczu, gdy to mówił, bił blask dumy nieugiętej, pełnej szlachetnego zapалу... Przeszedł się jeszcze parę razy wzdłuż pokoju i zbliżył do rozpiętej na stoliku mapy.

— Mam plan następujący — począł mówić tonem obojętnym, jak poprzednio. — Na Lubar pomaszerujemy do Połonnego, którą to twierdzę ma postawić w stanie obrony wysłany przez nas przodem pułkownik inżynier Sierakowski. Skoro znajdziemy tam możliwość bronięcia się skutecznego, zaczekamy na nadejście hetmana litewskiego z jego korpusem. Gdyby pułkownik Sierakowski nie zdążył do tego czasu Połonnego należycie ufortyfikować, wypadnie nam cofać się dalej w głąb Wołyń, aż do połączenia się z wojskiem litewskim, gdy będziem w stanie wydać bitwę generalną armii rosyjskiej. Tymczasem sprawą wielkiej wagi będzie uniemożliwić połączenie się z sobą obu korpusów nieprzyjaciela. Główne nasze siły wytrzymywać będą na sobie pod Połonnem impet korpusu wodza naczelnego Rosyan, Kachowskiego, jedna zaś z dywizji będzie miała za zadanie operować pod Czartoryą, w celu uczynienia dywersyi korpusowi Lewanidowa i odsunięcia go od głównej armii nieprzyjacielskiej. Trudne to zadanie poruczam generałowi Kościuszce i nie widzę potrzeby nadmieniać, że od skutecznego wykonania tej misyi zależny będzie los całego naszego wojska i w znacznej mierze los całej kampanii. Taki jest w ogół-

nym zarysie mój plan działania, który oddaję dla rozpatrzenia oraz zadecydowania waszmość panom.

Plan, jak należało się spodziewać, pozyskał aprobatę powszechną, tembardziej, że nikt nie mógł z innym, lepszym wystąpić. Zaraz więc następnego dnia wojsko polskie wymaszerowało z Ulanowa, drogą na Lubar wchodząc w granicę Wołynia. W tym marszu coraz jawniej poczęła się wykazywać nieudolność Żytomierskich komisji cywilno-wojskowych w zaprowiantowaniu armii. Żołnierz polski, idąc ciągle krajem własnym, coraz dotkliwiej przymierał głodem, wycieńczony coraz bardziej pośpiesznym, nieustającym marszem pod prażącymi promieniami słońca tej wiosny upalnej. Jedynie klubom surowej subordynacji wojskowej oraz wrodzonemu poczuciu obowiązku przypisać należy, że wszechynające się gdzieniedzie szemrania milkły rychło, że nieustanna pokusa dezercji po za leżącą tuż obok granicę galicyjską nie opróżniła do szczytu szeregów zgłodzonych.

Trop w trop za wciąż uchodzącą szczupłą armią polską, złożoną przeważnie z młodego, niewyćwiczonego w trudach żołnierza, nasuwały się groźne szeregi rosyjskie, liczniejsze czterokrotnie, zahartowane w ogniowej próbie uporeczywej, świeżo zakończonej zwycięstwem wojny tureckiej. Operacyami ich kierował kwatermistrz Pistor, Niemiec, zaś wódz naczelny całej siły, generał Kachowski, miał plan działania prosty, łatwy w wykonaniu, druzgocący armię polską w swym skutku niechybnym. Chodziło o to, aby łącznie z Lewanidowem obejść od północy i południa oba skrzydła polskie,

odciąć je od Połonnego, otoczyć pierścieniem nierozzerwalnym, i zmusić do złożenia broni, lub, w razie oporu, wyciąć w pień. Poniatowski odgadł zamiar nieprzyjaciela i wynikające z niego groźne niebezpieczeństwo: posłał Kościuszkę ku Czartoryi, o milę na północ od Lubaru, aby operował przeciw korpusowi Lewanidowa, zabezpieczając tym swojej armii manewrem drogę ku Połonnemu. Dnia 15 czerwca armia polska ruszyła ku wymienionemu miasteczku, mając w aryergardzie kolumnę generała Wielhorskiego, wówczas gdy Kościuszko, mając pod sobą nie więcej nad 4 tysiące żołnierza, zboczył w prawo dla dopełnienia włożonej na siebie ryzykownej i arcytrudnej misji.

Cyprian Czezelł mniemał, że w tej komendówe otrzyma swój pierwszy krwawy chrzest. Zdarzały się wprawdzie dość częste dotąd utarczki na tyłach i po bokach cofającej się armii, przeważnie z korzyścią dla Polaków, ale traf zrządził, że Cyprian nie brał dotąd w nich udziału. Z tem gorętszem upragnieniem w duszy marzył teraz o niechybnem, zdawało się, spotkaniu. Uszedłszy od głównej armii mil kilka, pod wieczór tego dnia usłyszano w tamtej stronie odległy bas dział, który wnet przeszedł w żwawą kanonadę i rychło ucichł. Była to owa nieszczęsna porażka kolumny Wielhorskiego, który wpadł w zasadzkę, przysposobioną przez Tormasowa i ks. Łabanowa na grobli Boryskowieckiej.

Kościuszko z włożonego na się zadania wywiązał się wyśmienicie, wykazawszy tu w całej pełni swój geniusz wojenny. Węzowemi szlakami swo-

ich marszów i kontrmarszów, odbywanych z szybkością błyskawiczną, opłatał tak kolumnę Lewanidowa, że wódz rosyjski wprost stracił głowę, znajdując wszędzie na swej drodze wyrastające jakby z pod ziemi szyki polskie. Jedną całą noc, dżdżystą i chmurną, stały szeregi Kościuszki z bronią w rękę, naprzeciw przeważającego liczebnie nieprzyjaciela, zagradzając mu drogę pod Czartoryą, gotowe z własnych trupów uścielić tamę nieprzebytą. Do starcia orężnego nie doszło, lecz generał rosyjski stracił czas niepowetowany oraz korzyść bliższej drogi z Miropola, co zniweczyło plan Kachowskiego osaczenia armii polskiej i zabezpieczyło jej drogę do Połonnego.

W Połonnem połączona armia polska bawiła nie długo. Pokazało się, że fortyfikacje twierdzy nie mogły dać należytej osłony, co zresztą nie było winą Sierakowskiego, który, wobec rozwijających się z niespodziewaną szybkością wypadków, w żaden sposób nie mógł wykonać zmuszonego zadania do czasu nadejścia wojsk rosyjskich. Zniwoloną temi względami, książę Józef nakazał swej armii marsz dalszy na Szepetówkę, wysławszy przodem lazaret i kasę do Dubna.

Kościuszkowi miał w dalszym ciągu poruczone sobie osłanianie tyłów armii i dopiero w cztery godziny po wymarszu sił głównych mógł wyruszyć z miasteczka. Droga w tem miejscu szła okolicami smutnymi, rozległymi błoniami, przecierającymi się wśród posępnych jodlowych lasów, pełnymi mokradł i trzęsawisk. W gruncie grzązkim i zdradzieckim grzęzły furgony i jaszczyki z amunicją,

działa tu i owdzie zapadały do samych osi. Przez niektóre grzęzawiska przeprawa stawiała się arcytrudną. Żołnierze wprzęgali się narówni z ustalonymi końmi, aby ruszyć z miejsca cięższe, dwunastofuntowe armaty, które pogrzęzły. Niekiedy, dla zrobienia wiorsty, potrzeba było stracić więcej czasu, niż gdzieindziej dla przejścia całej mili. Uporczywe deszcze, które lały od kilku dni, przemieniły polanki w bajory nieprzebyte i utrudniały przeprawę nad wszelki wyraz.

Nagle, około g. 2 z południa, idący ze swoim oddziałem w ociagu porucznik Kniaziewicz dał znać Kościuszcze, że na tyłach ukazują się szeregi Lewanidowa. Sytuacja stawiała się nader groźną. Kościuszkowi pośpiesznie upatrzył jako tako możliwą pozycję na suchszem miejscu pod zwartą ścianą sosnowego starodrzewu, na gwałt począł zataczać działa, zrobił front i stanął w pogotowiu bojowem. Rekonesans nieprzyjacielski zastał szeregi polskie w sprawnym szyku, gotowe do odparcia ataku, jazdę osłaniającą skrzydła pieszych batalionów, kanonierów z zapalonymi lontami, stojących przy armatach. Na widok takiego pogotowia, upadło serce w nieprzyjacielu i nie starczyło odwagi do zaczepnego ataku. Kościuszkowi jakiś czas stał na pozycji, poczem, widząc, że Lewanidow atakować go nie śmie, ruszył swoją kolumnę i, pod osłoną dział i tabornu, szczęśliwie przybył pod noc do Szepetówki.

Tu Poniatowski otrzymał raport od ks. Michała Lubomirskiego, zawiadamiający, że stoi wraz ze swoją czterotysieczną dywizją wołyńską w pobliskim Zasławiu. Książę Józef posłał mu rozkaz na-

tychmiastowego wymaszerowania na spotkanie z armią główną, zaczęm, następnego dnia przed południem wojsko polskie ruszyło dalej.

Tymczasem tegoż dnia z głównej kwatery armii rosyjskiej, z Łabunia, został wydany przez głównokomenderującego rozkaz natychmiastowego zaatakowania Polaków pomiędzy Szepetówką a Zasławiem, znienacka, w zamiarze zadania klęski, podobnej do Boryszkowieckiej, lecz daleko donioślejszej w skutkach, któraby przyprawiła armię ks. Józefa o straty niepowetowane.

W tym celu, w marszu pośpiesznym, poczęła zabiegać drogę polskiemu wojsku silna kolumna awangardowa, którą prowadził generał Markow, lecz pod wsią Zieleńcami, na wzgórku, „w półkrąg jajkowaty” ukształtowanym, już stało w gotowości 2,200 piechoty i 800 jazdy polskiej, niebawem zaś nadciągnęła brygada Mokronowskiego z parkiem artyleryjskim, liczącym 12 armat. Już pod sam wieczór nadszedł pułk przedniej straży, wydzielony z dywizji Kościuszki, oraz sam Poniatowski ze swoim głównym korpusem, szykując go w drugą linię. Wnet poczęto sypać szanice przed frontem pieszych batalionów, uszykowanych w środku linii pierwszej, oraz ziemne przykopy dla osłony baterii i parku artyleryjskiego. Tymczasem zmierzch zaczął prószyć coraz gęstszy, spowijając w welon gwiazdzistej nocy letniej okolne pola i dwa wrogie obozy, przyczajone naprzeciw siebie w zdradzieckiej ciszy.

Pole chwały.

W zarannem, perłowym powietrzu ozwała się rzeżka, dźwięczna pobudka, którą wnet powtórzyły trąbki w innych szwadronach. Dźwięk czysty i przejmujący serce dreszczem niewysłowionym obleciał wokrag wzgórze i wsiąkał w mgły echem mdlejącem z przedziwnej rzewności. Polami szedł chłód poranny, rzeźwiący, za którego sprawą krew raźniej jęła krążyć w żyłach. Szyki ustawiały się w milczeniu, sprawnie i żwawo. Cypryan, który się znalazł pod Zieleńcami wraz z pułkiem przedniej straży, odłączonym od kolumny Kościuszki, idącej w aryergardzie, ujrzał się w sprawionym szyku na skrzydle prawem w drugiej linii, tuż obok brygady Mokronowskiego. Oczyma, pełnemi żalosego zachwytu, oglądał tę pierwszą widzianą w życiu pozycję bojową i cały szyk, ustawiony do walki. Na widok szeregów, jakby zastygłych w oczekiwaniu godziny niewiadomej, zgola nieznajome wzruszenie ścisnęło mu pierś.

Tuż przed sobą, na prawym flanku pierwszej linii, widział kawalerię Jerlicza z komendy generała Czapskiego, stojącą tak blisko, że, mimo szarego jeszcze powietrza, rozróżniał granatową barwę ich mundurów i amarant wyłogów i kółnierzy. Ostrzy ich wzniesionych w górę lanc jeszcze nie zapalił blask świtu. Bliżej nieco ku środkowi rozróżnił barwy pułku Buławy Polnej Koronnej, zaś w przezwie pomiędzy tymi dwoma pułkami widział wyraźnie oszańcowaną baterię kompanii artylerii koronnej kapitana Szamockiego. Dalej w lewo majaczyły w perłowym powietrzu szeregi piechoty ciemną linią wydłużoną ku lewemu skrzydłu, które składały jakieś szwadrony jazdy i park artylerii skrzydłowy. Szyku drugiej linii, w której sam stał, obejrzeć nie mógł, bo mu go sobą zakrywali kawalerzyści pierwszego szwadronu, stojący od lewej strony.

Pola poczęły coraz jaśniej oświtać od budzącego się brzasku i w rzadniejących mgłach zarysowały się ciemną smugą odległe szeregi rosyjskie Markowa. W pewnej chwili w ciemnym łonie tej ławy nieruchomej coś nagle rozbłysło i w martwą ciszę zarania runął potężny grzmot działowy i grzmieciem echem potoczył się po okolicy. Za moment rozległ się grzmot drugi, trzeci, dziesiąty. Ziemia w posadach drgnęła niemal widomie, zakolysała się martwe przed chwilą powietrze. Jednocześnie Cypryan poczuł w górze nad sobą potężny pęd zarwanego powietrza i usłyszał przeraźliwy gwizd pocisku. Konie w pierwszym szeregu drgnęły, zachrapały ze strachu i stuliły uszy, jeźdźcy pomimowol-

nie schylili głowy. Na szczęście, pociski artylerii nieprzyjacielskiej z początku przenosiły wszystkie. W bateriach polskich wszczał się wnet ruch gorączkowy. Cypryan widział, jak przy najbliższym działie zakręcili się artylerzyści, jak szybko odskoczył oficer od celownika, jak kanonier przytknął do zapалу lont — poczem potworny kadłub działa odskoczył w tył i huknął ogłuszający strzał. Za chwilę poczęły grzmieć wszystkie baterie polskie i kanonada nieprzerwana wszczała się na całej linii.

Białawe, potworne kłęby gryzącego dymu rozwlokły się leniwie nisko nad ziemią i przesłoniły wszystko. Ich nieprzeniknioną oponę rozrywały co moment tu i owdzie nagle wybuchy ognia, lecz pojedyncze grzmoty strzałów ginęły i roztopiały się w ogólnym huku nieprzerwanym, od którego wibrowały nieustannie potężne struny powietrzne. Zdało się, że się wokoło wali świat. Cypryan w jakimś osłupiałem zapamiętaniu otwierał szeroko oczy, przecierając je co chwila pięściami od zjadliwego dymu, jakby pragnąc nie nie uronić z urocznego widowiska. W pewnej chwili armatni pocisk wrył się w ziemię o kilka kroków przed pierwszym szeregiem jego szwadronu, wyrwał ogromną połać gleby, którą wściekły wir powietrza cisnął w żołnierzy. Szereg wraz pękął i w uczynionej wyrwie stygnące od zgrozy oczy Cypryana ujrzały wijący się w konwulsjach kłęb ciał końskich i ludzkich, zboczonych krwią. Okropny jęk wydarł się na moment z tła nieustającego grzmotu, poczem wnet go pokryły nowe salwy działowe, od których głuchły uszy. Cypryan z wysiłkiem dźwignął zre-

nice i odwrócił od przerażającego widoku w inną stronę.

W pobliżu, przed frontem drugiej linii, przejeżdżał stępą książę Józef z teleskopem w ręku, sprawdzając co chwila skuteczność ognia działowego. Zatrzymywał się na chwilę przy najbliższej baterii i Cypryan widział, jak ręką i głosem dziękował dowodzącemu nią oficerowi za celność strzałów. Cypryan powiódł za nim niewysłowionem spojrzeniem, gdy książę odjeżdżał z wolna, wśród nieustającego świstu kul, ku dalszym bateriom, poczem ociężały wzrok podniósł na pole, rozciągające się przed frontem.

Słońce już było dawno weszło, pierzchały poranne mgły. Nagły powiew wiatru odsłonił na chwilę widok z pod gęstej opony dymu i w dalekiej perspektywie ukazały się zwarte szeregi piechoty rosyjskiej, z bagnietem w ręku idące do ataku. W interwallach kanonady armatniej do uszu dobiegł drobny, pełen alarmu, odgłos bębnow, i jednocześnie suchy trzask salw z broni ręcznej. Zagwizdały w powietrzu kule karabinowe, jak złe, natrętne osy. Prawie w tej samej chwili z burego obłoku dymów wynurzyła się konnica nieprzyjacielska, w szalonym pędzie, atakująca prawe skrzydło polskie.

Szwadrony kawalerii Jerlicza, na które wywarł się ten impet, drgnęły, zobaczywszy tuż przed sobą, jakby z pod ziemi wypadających kozaków dońskich brygadiera Orłowa i pułk Achtyrski lekkokonny Zubowa. Cypryan, w którego piersi serce zaszamotało się konwulsyjnie i zagnała zamarło, widział obląkanemi oczyma, jak szeregi kawalerii

polskiej zwinęły się pod tym wściekłym atakiem, wygięły się w półkole ku tyłowi, pękły i całe skrzydło prawe pierwszej linii prysło i rozproszyło się w oka mgnieniu, parte i łamane zwyciężkim zapędem konnicy rosyjskiej na wsze strony.

Cypryan zamarł i zeszytywniał na śmierć na swym koniu. Widok bezlitosnej, przerażającej klęski, jaka się rozwijała przed jego oczyma, kleszczami śmiertelnymi ucisnął struchlałe serce, szponami krwawego bólu pruć piersi, chwycił za gardziel, obląkał do ena zmysły. Poczem rozpacz dzika, jak wichur, targnęła się w piersi. Po chwili złodowaceniami uderzyły nań poty śmiertelne, żywy płomień zabuzował się we wnętrzu, pękała pierś. Oczy zaszyły krwawą, nieprzejrzaną mgłą...

W tem usłyszał w pobliżu szalony przecwał rumaka. Po przez krawą ośmę dojrzał wichrem pędzącego ordynansa Poniatowskiego, ukosem przez wzgórze, który okrytego płachtami piany konia osadził, za moment przed generałem Mokronowskim salutując. Generał, odebrawszy z jego ust rozkaz księcia, dobył pałasza i skinął nim ku swoim rotmistrzom. Rozkaz w mgnieniu oka obleciał szwadrony. Kawalerya narodowa, stojąca na prawym flanku w drugiej linii, oraz pułk przedniej straży zerwały się do szarży, zniżywszy lance.

Cypryan gnał w szeregu, ściskając kureczowo w dłoni rękojeść obnażonej szabli, w uniesieniu, nie dającem się wysławić. Zdawało mu się, że go porwało skrzydło potężnej burzy i niosło w dreszczach rozkoszy niezaznanej. Pierś, uwolniona wreszcie ze strasznego ucisku, grała szerokim oddechem mocy

żywiolowej. W chwili niewiadomej ujrzał tuż przed sobą czerwone, płaskie czapki Dońców i szerokie, skurczem dzikiej żąciwości wykrzywione twarze. Zamigotała mu przed oczyma wąska błyskawica ostrej, nagiej stali. Wówczas stanął twardo w strzemiionach, uniósł nabrzmiałe mięśniami ramię i w furii wyzwolonej wreszcie radości jał płać na prawo i na lewo, rozdając ciosy trochę na oślep, jednak niechybne i straszne. Czasem ostrze jego pałasza trafiało również na stal dźwięczną i giętką, częściej wszakże grzęzło w miękkich bryłach, zgrzytało o kość czaszki lub gnatów. Z rozkoszą nagle wyzwolonej żądz, którą długo musiał hamować i tać w niezbadanych ostępach serca, pławił się teraz w tej posoce, wylewał ją z hojnością nieprzebraną, z szafunkiem szczodrym, w nikłym poczuciu nagłego objawienia, że tylko ten wylew hojny jest w stanie z piersi tej ziemi zmyć ślady długotrwałych krzywd. Nie wiedzieć w jakiej porze spostrzegł, że już nie ma przed sobą owych czerwonych twarzy i skośnych, dzikich oczu, tylko potyllice i grzbiety umykających. Wówczas wsiadł im na kark i gnał wraz z innymi po jakichś rozdołach i mokradłach, tnąc i siekąc zapamiętełe, ilekroć dopadł którego na długość pałasza.

Skutek szarzy jazdy polskiej był straszny: kozacy dońscy i pułk lekkokonny Zubowa, pragnąc na razie wstrzymać jej impet, zaslali wzgórze stosami swych trupów, zaczęli, opanowani bladolicym strachem, pierzechnęli na oślep i wśród bezładnej ucieczki zostali wycięci w pień. Generał Orlów, hetman Dońców, uchodząc z pola, wpadł z koniem

wjakoweś bagna i gdyby nie ratunek kilku kozaków, byłby się dostał w ręce polskie. Kawalerya narodowa pod Mokronowskim, zziąjana i okryta krwią kurzawą, z pieśnią zwycięstwa powracała na swoje stanowisko.

Gdy się to działo na prawem skrzydle, szara éma pieszych jegrów i karabinierów parla się z nastawionymi bagnetami na piechotę polską, ustawioną w pośrodku w okopach. Nie wytrzymał młody żołnierz polski, nieobyty z ogniem, piekielnej kanonady, jaką rozwinęły baterie rosyjskie w kierunku tej pozycji, oraz salwy nadbiegających karabinierów, i trzy bataliony Lubomirskiego pierzechnęły i uszły z rowów.

W ślad za uchodzącymi wdarli się do okopów jegry, wyparli w ataku bagnetowym regiment pieszy Malezewskiego i opanowali baterię, wykłówszy kanonierów co do jednego. Na ratunek tak zagrożonej pozycji pełną księża Józef bataljon imienia Potockich i, chwyciwszy do rąk karabin, powiódł go osobiście do ataku.

Tak świetny przykład niezrównanego męstwa wodza natchnął polskiego żołnierza walecznością nieugiętą. Z furją dopadł bataljon do jegrów, od jednego zamachu odebrał baterię, i, nie szczędząc własnej krwi, wyrzucił nieprzyjaciela z okopów i zmusił go do śpiesznej rejterady. Wówczas księża Józef postanowił zadać armii rosyjskiej cios ostateczny i dokonać zwycięstwa.

W tym celu ruszył z lewego skrzydła kawalerię Wielhorskiego i rzucił ją na prawy flank Markowa, gdzie stał pułk Olwiopolski huzarów, nie biorący

dotąd udziału w boju. Ochoczo skoczyły szwadrony tej dywizyi, palając żądzą odwetu za klęskę w zasadzce Boryszkowieckiej i, znizywszy lancę klinem wbili się w ścianę huzarów. Książę Józef, nie odejmując teleskopu od oczu, śledził ze wzgórza skutek ataku Wielhorskiego. Cypryś w swoim szeregu, ochłonawszy już z furi i znoju zwycięskiej szarży, patrzył na oną daleką bitwę z latającem ze wzruszenia sercem w piersi. Dla gwałtowniejszego udziału w walce, jak waż skręcający i rozwijający się, jak wydlużone swe cielsko. Zygzak białawo stał przewijał się nieustannie wzdłuż od końca do końca, niewyraźny zgiełk bitwy dostrzegał aż tu, aż do źróźdyska. Naraz serce załomotało mu w piersi, jakby w niem uniesieniu. Cielsko owego węża pękło, jak kłosa przegubach i w tych miejscach jakby trzewia i jelita jęły się wywalać i wydawać szybko ku tyłowi: świetni huzarowie zmykali z pola, najprzód pojedynczemi kupami, potem cała ta lawica drgnęła i tłumnie poczęła pierzchać. Kawalerzyści Wielhorskiego wnet wsiedli na konie, jakiś czas gnali przed sobą, jak burza oburącz zwinętych, złotych błiszczy

W szeregach polskich na ten widok radosią ulgą wezbrały piersi, grzmot okrzyków zerwał się i buchnął ku Niebiosom. Jednocześnie widać było, jak na pozycyi nieprzyjacielskiej wnet po pierzchnięciu huzarów wszechzał się ruch porażający. Szeregi zmieniały pośpiesznie front, pojedyncze kolumny przebiegały na inne miejsca, na gwałt ściągano baterye. Markow śpiesznie formował czworo-

gran i, zebrawszy do kupy swoje szeregi, rozpoczął odwrót pod górę.

Pole bitwy i chwała chlubnego zwycięstwa zostały przy Polakach.

W tej chwili do Poniatowskiego, obserwującego ze wzgórz cofanie się Rosyan, na zdyszany mównicę wyszedł Mokronowski.

— Książę! Nieprzyjacieli uchodził.. zaciągającym prawie rozpaczą.

— Wziął lunetę i zwrócił na generała, którego pełne w tej chwili blasków nie-

— Wskazywał pierwiastkom naszych szeregów, śmiejąc się, jakby własnym uśmiechem, który wymowną oblał jego młodzieńczą twarz.— Pokazał się godny swego imienia.

— Książę! na miły Bóg! — wołał, ledwie hamując wzburzenie, Mokronowski—przecież nie możemy pozwolić im tak ujsć!.. Błagam, niech moi książę!.. niech moi książę!.. niech moi książę!.. niech moi książę!.. Wytniemy ich albo zagarniemy żywcem..

— Niepodobna! — wymamwił z cicha, głosem stłumionym. — Jazda nasza strudzona, zresztą w dalszej gonimogoni mogłaby wpaść na główny korpus Kachowski i zostać się we dwa ognie. Niepodobna, — dodał prawie twardo. — Unosi cię zapęd

Mokronowski nie dawał za wygraną.

— Od strony Łabunia stoi Kościuszko i wstrzyma na sobie sukurs rosyjski aż do jutra!.. Ja sam

powiodę swoją kawaleryę, za której sprawność zaręczam. Wodzu!—skamlał prawie ze łzami—nie daj tak zmarnować zwycięstwa i pozwól je wyzyskać do ostatka! Na wszystkie świętości zaklinam cię, mości książe...

Żebrał błagalnie, wypatrując przyzwolenia w oczach księcia.

Ale te oczy w tej chwili miały wyraz niezbadany i były jakoby cofnięte w głąb duszy. Książę Józef pochylił czoło i pograżył się w dumny moment. Poczem, nie poruszając praw bezdźwięcznie szepnął:

— Niepodobna!.. Znasz waćpan roszawski: bronić się, nie atakując samemu jaciela. Jako wierny syn Rzeczypospolitej, winnem być posłuszny jej rozkazom... W razie klęski, gdybym osiągnięta dziś korzyść wystawił na niepewny hazard, krwią—bym nie zmazał mej winy...

Podniósł głowę i głosem twardym wydał rozkaz:

— Masz odmaszerować, generale, ze swą brygadą natychmiast do Zaslavia, w przedniej straży. Przed nocą stanę tam z całym moim korpusem. Obejrzyj pilnie drogę i mosty, dla bezpiecznego zwłaszcza przeprowadzenia artylerji.

Twarz Mokronowskiemu wraz zgasła i przybrała wyraz kamienny. Wyciągnął się, odwrócił i zwrócił konia w kierunku prawego skrzydła, gdzie dotąd stała jego jazda waleczna.

Poniatowski skinął na jednego ze swych adju-

tantów i kazał mu skoczyć z ordynansem do Kościuszki, aby opuścił już niepotrzebną pozycję na drodze Łabuńskiej i w aryergardzie ciągnął na Zaslaw, zabezpieczając tyły armii. Wydawszy te rozkazy, jeszcze raz obrzucił wzrokiem pole niedawnej walki, poczem spojrzął na słońce. Olbrzymia, płomienista kula wisiała już nisko nad zachodem w błękiecie nieskalanym, sącząc ze swego wnętrza dziwną, rumianą jasność, niby najserdeczniejszą krew, która ruchomemi błamami żalosnej purpury przelewała się po tych łąkach i zboczach, usianych ciałami poległych. Książę, stojąc na wzgórzu na białym koniu, w tym obrzasku purpurowym, wydawał się jakby archaniołem zgonu, biorącym w swe nieodjemne władanie straszliwe pokłosie krwawego żniwa...

Kościuszko, otrzymawszy ordynans wodza naczelnego, nakazujący odwrót, zboczył z drogi Łabuńskiej na prawo i wglębił się ze swoją kolumną w prastary las sosnowy, dążąc w kierunku zachodnim. W pewnem miejscu, w cieniu odwiecznego świerku, zatrzymał konia i, przyzwawszy ku sobie adjutanta, który mu przywiózł rozkaz Poniatowskiego, kazał opowiedzieć sobie przebieg bitwy pod Zieloncami, w szczegółach najdrobniejszych. Słuchając mienił się widocznie na twarzy, gdy zaś świadek naoczny ukończył opowieść, Kościuszko nie mógł tego ukryć, jak był poruszony i chwyciwszy się oburącz za głowę, wykrzyknął z głęboką żalością:

— I takowe zwycięstwo pozostawić bezowocnem i nie uczynić nic, aby wyciągnąć zeń całą

kerzyć strategiczną i utrwalić skutki!.. O, już to jedno jest klęską!..

Głębokie, ciemne jego źrenice zaszyły mgłą. Myślał o losach armii, oddanej pod komendę nie-doświadczonego młodzieńca i ulegającej bezwzględnie ślepych nakazom dalekich rozkazodawców.

Utrata Ostroga.

Z pod Zieleniec, nie wyzyskawszy należycie swojego zwycięstwa, wojsko polskie cofało się dalej na Zasław i Ostróg. Przybywszy do tej miejscowości, Poniatowski postanowił zatrzymać się tu i, korzystając z obronności tej pozycji, podjąć nową próbę wstrzymania pochodu Rosyan w głąb prowincyi polskich. Jakoż Ostróg zdawał się podawać pewne nadzieje powodzenia tych usiłowań. Samo położenie miejsca utrudniało w znacznej mierze atak ze strony nieprzyjaciela, mury i obwarowania były w stanie niezłym i ułatwiały obronę pozycji.

Zdrożone forsownemi przemarszami i ciągłemi utarczkami wojsko polskie, rozłożyło się w mieście na krótki, dobrze zasłużony spoczynek. Kilka dni upłynęło w spokoju, wysyłane codzień podjazdy nie dawały wieści o nieprzyjacielu.

Zaraz po przybyciu na miejsce i po rozkwaterowaniu się pułku, Cyprian, zrezygnowawszy nawet z wieczery, padł na łożo i zasnął wraz jak

kloc, snem twardym i bezpamiętnym. Mimo niejakiego już nawyknienia do służby wojskowej, niezrównane trudy ostatnich dni, udział w walce zieleńieckiej oraz nieustanna czynność, konieczna dla oddziału, idącego w aryergardzie wobec nacierającego zewsząd nieprzyjaciela, zbiły go ostatecznie z nóg, wyczerpały z sił, zniemożyły do cna. W tak utrudzonem ciele zwątpiał i jakby skrzepl i duch. Żywiołowe pragnienie chwili spoczynku wśród trwóży, bezsennych nocy, kropli wody dla spieczonych warg wśród upału przemarszów, łyżki bodaj nędznej strawy wśród niedostatku śpiesznego odwrotu—było metą jego myśli i marzeń w one dni. Poza zakres tych pragnień poziomych nie ulatała myśl skolatana, tłukąc się, jak ptak o skrzydłach podciętych, w ich ciasnym, twardym obrębie. Zamarła w nim na on czas ciężki wszelka pamięć tak świeżej przeszłości, która do niedawna gwarzyła z jego sercem mową anielską, zatraciła się świadomość ostatecznego celu tych bohaterskich wysiłonych zapasów, pozostał sam nagi szkielet trudu, tępe poczucie nieustannego niebezpieczeństwa, zniemożenia, niemal jakiejś zatury. Był to jakby głuchy, drętwiający letarg duszy, bez przeblysku światła, bez marzeń.

Sen twardy owej pierwszej spokojnej nocy w Ostrogu przyniósł zmordowanemu ciału młodego żołnierza rozkoszny wypoczynek. Nazajutrz, wczesnym ranem, przebudził się Czezel, świeży, wypoczęty, gotów do nowych trudów. Otworzył oczy, ujrzał stojącego przy łożu starego Gaudentego.

— Jakże się paniczowi sen udał?—pytał stary

wiarus — Bóg nam zdarzył pierwszą noc spokojną.

— Wyspałem się setnie!—odpowiedział, przeciągając się, Cypryan. — Cóż tam słyhać stary? Nieprzyjacieli nie następuje?

— Nie masz o nim ni słyhu. Pan poręcznik Kniaziewicz przed świtem ruszył z podjazdem i dotąd nie wrócił. Ino mam zwiastować osobliwą wiadomość paniczowi...—tu się sługus zatrzymał.

— Cóż takiego, stary?..

— Pacholik jakowyś preez od samego rana przepytował się po mieście o panieza i teraz oto tu przed progiem stoi. Powiada o sobie, że przebywa z pod Kamieńca i że ma do panieza jakoweś listy...

— Z pod Kamieńca?.. — powtórzył zdziwiony Czezel—i naraz, śnać uderzony nagłą myślą, porwał się i równemi nogami z łoża wyskoczył.

— A dawaj mi wraz tego pacholika!—zakrzyknął, niezwykle wzruszony.

Gaudenty wprowadził do izby wyrostka, w siermiedze włóściańskiej, który, złożywшы nizki pokłon, sięgnął do zanadrza i podał Czezelowi owinięty w papier pakieci.

— Od jasnej panienki kasztelanki naszej nakazano mi oddać to do rąk własnych waszej miłości.

Czezel skwapliwie porwał z rąk chłopca pakieci i z niewysłowionem drżeniem serca jął zrywać pieczęcie. Pacholik tymczasem, stojąc u progu, ciągnął:

— Oj, zaznałem że ja strachu i przygód, z nim z tem pismem dotarłem do wojska!.. Po wszyst-

kich drogach, wszędy, snują się kozaki, dali-by mi oni dobrego łupnia, gdyby mię z temi listami dostali w swe ręce!.. Panno Przczysta uchowaj!.. Pod Polonnem natknąłem się na całą sotnię i gdybym w sam czas nie był dał nura w przydrożne haszcze, nie stałbym pewnie tu ninie przed jegomością... A głównie drżałem o to pismo, z którego przyczyny tak się trwożyła jasna panienka i nie mogła dosyć zalecić mi ostrożności. — „Na wszystkie świętości, Hryhorko, zaklinam cię—mówiła do mnie—miej się na baczności, abys szczęśliwie do wojska naszego dotarł i to pismo do rąk samego jegomości oddał. Przysiąż mi — powiada—że posłannictwa tego dopełnisz wiernie!” — Tak ja przysiągł i tem ją trochę uspokoił—i ot—Bóg pomógł do was przybyć i polecenie wiernie dopełnić.

Cypryan nie zważał na gawędę pacholika i całą duszą wglębił się w treść listu nadobnej kasztelanki. Z niedającym się wysłowić wzruszeniem wniebowziętego serca pochłaniał te wyrazy, które z kart białych pisma wykwitwały ku niemu, naksztalt kwiatów cudnych, upajających swą wonią żywą i niezrównaną. Były to wyrazy proste i naiwne, lecz w tej właśnie swojej prostocie zachwycające, jakby kwiaty niewiedzące o swej woni, podobne fiołkom, kwitnącym w ukryciu bujnych traw, w cieńnistem leśnem ustroniu, w rosisty, młody poranek wiosny. Ich dziewczęca, nieskazitelna świeżość zdolną była orzeźwić pierś najbardziej skrzeplą i staraganą, ich dziwna woń, nie wiedząca sama o sobie, tumanem wzruszeń niewymownych owionęła umysł Cypryana. Z każdego wiersza, z każdego niemal

wyrazu, biła ta prawda cudowna, że jest kochany niezmiennie i wiernie, że ku niemu ulatują wszystkie myśli, wszystkie najtajniejsze pragnienia dziewiczego serca, że o jego życie, pomyślność, szczęście płyną gorące ku Niebu westchnienia z jej niewinnych, precudnych ust... Szeroka pierś młodego rycerza wezbrała przyływem potężnym uczucia, nąglą świadomością nowej, nieznanej dotąd siły. Zdało mu się, że cały ogromny świat zamyka w swej piersi. Ta miłość daleka i jasna była dlań jakby niezłomnym puklerzem przeciw przeciwnościom losu, wrogom, wszelkim przygodom. Nią zbrojny, przeszedłby—zdawało mu się w tej chwili—cały świat, zmógł-by wszystko, cudów dokonał...

Cypryan rzucił pacholkowi trzos srebra i, kawszy Gaudentemu mieć o nim staranie, wybiegł ze swej kwatery. Całą swą istotą pożądał ruchu, powietrza, przestrzeni, dla tego szczęścia, którego nie mógł zmieścić w swej piersi, które chciał obnieść po Bożym świecie, pod niezmierzonym lazurem jasnego nieba, w promieniejących blaskach letniego dnia. Sam nie wiedział wiele czasu włóczył się po jakichś lesistych wzgórzach, otaczających miasto, po szerokich kwietnych dolinach, przyciskając do ust i do serca list swojej kochanki, odczytując po raz niewiedzieć który jego cudowną treść, przeżywając na nowo wiecznie świeży poemat płonącego miłością serca.

W tym stanie ducha upłynęło mu kilka dni zupełnie spokojnych. Bezczynność ta, jakiej oddane było wojsko w oczekiwaniu zbliżenia się nieprzyjaciela, w innych warunkach, tak pożądana jako

zasłużony wypoczynek przed nowymi zapasami, wkrótce zaczęła ciążyć Cypryanowi coraz bardziej. W trwałem podnieceniu wszelkich sił duchowych, spowodowanem pismem kasztelanki Morskiej, młodzieńiec czuł żywiołowe pragnienie czynu, jako ujścia dla nadmiaru uczuć, przepełniających pierś. Tymczasem dni wlokły się w bezczynności zupełnej; wychodzące co dzień rekonensanse nie zwiastowały ruchu zaczepnego ze strony wojsk rosyjskich. Wypadkiem, który ożywił nieco monotonię tych dni, była uroczystość rozdania przez Poniatowskiego nadesłanych od króla orderów, pomiędzy oficerów oraz żołnierzy, którzy czynami niezwykłego męstwa dystygnowali się w czasie trwania tej kampanii. Obdarzeni zostali orderami generałowie: Mokronowski i Wielhorski, podpułkownicy: Grochowski i Hauman, major Łasiński. Wreszcie, dnia dziesiątego po przybyciu do Ostroga, podjazdy doniosły, że nieprzyjaciel się zbliża z widocznym zamiarem atakowania pozycji, zajętej przez Polaków.

Po otrzymaniu tej wiadomości w Ostrogu wszczął się ruch gwałtowny. Pojedyncze oddziały wojska dążyły śpiesznie na wyznaczone sobie pozycje, których bronić miały. Najpilniejszą uwagę zwrócono na mosty, na które niewątpliwie winien się być wyrzucić pierwszy atak nieprzyjaciela. Obsadzono je silnymi oddziałami pieszymi, oraz zabezpieczono bateriami artylerji polowej, która ustawiona na brzegu wyniosłym od strony miasta, była w stanie ostrzeliwać je z bliska i skutecznie. Kawalerya, oprócz tych oddziałów, które nie ściągnęły się były z bloni zarzecznych, zajęła stanowiska na brzegu wynio-

słym w charakterze rezerwy, będącej w pogotowiu bojowem.

Jakoż, atak ze strony nieprzyjacielskiej nie dał na siebie długo czekać. Ruszyły 4 bataliony jęgrów, kilka sotni kozackich oraz 11 dział ku przedmieściu, w celu opanowania mostów. Widać było, jak po grząskiej równinie waliły do ataku szare kolumny piechoty, jak z trudem wlokły się armaty, zapadając miejscami po osie lawet w błotnistych rozdolach. Tymczasem bokami wyrwały się lotne oddziały Dońców, których czerwone czapki wnet upstrzyły równinę podmiejską. Ozwały się działa ze stron obu i rozpoczęła się dość zwawa kanonada.

Oba pierwsze mosty, zbyt wysunięte na czoło pozycji i trudne do skutecznego ostrzeliwania z baterji polskiej, po jakimś czasie zostały opanowane przez nieprzyjaciela. Kolumny piechoty rosyjskiej wwały się do przedmieścia i szybkim krokiem, z nastawionemi bagnetami, ruszyły ku trzeciemu mostowi, stanowiącemu klucz istotny pozycji.

Tu oczekiwały, gotowe do odparcia ataku, batalion pieszy pułku XII, oraz batalion pod szefem Gorzeńskim. Zanim jednak jęgrzy dopadli pierwszych prześel mostu, dostali się w straszliwy ogień krzyżowy z baterji polskich, dominujących nad tą pozycją. Kolumny skłębiły się, zatrzymały i wreszcie, nie zdolne wytrzymać morderczego ognia, beładnie zaczęły się cofać, pozostawiając na placu poległych i ciężiej rannych. Z pewnej odległości od mostu udało się oficerom sformować jako takokolumny i poprowadzić do ponownego ataku. Za-

warczały bębny, ściśnięte szeregi, z wyciągniętymi żądlami bagnetów, runęły naprzód, pragnąc przyspieszonym krokiem przebiec ów przedmostowy pas śmierci.

I znów powietrze zadrgało od huku dział, zawarczały pociski, jak stado spiżowego ptactwa. Żołnierze polscy, zwartemi szeregami ustawieni na moście, ujęli mocniej w garście broń i badawczy wzrok wparli przed siebie, ku zbliżającym się cwałem szarym kolumnom rosyjskiego żołdactwa. Lecz pod nowym deszczem morderczego ołowiu, napaśtniejsze szeregi drgnęły powtórnie, zmieszały, skłębiły i rozpierzchły na wsze strony, jak garść plew pod niespodzianym podmuchem wiatru.

Niebawem na przedmiejskiej dolinie ozwały się sygnały do odwrotu. Nic nie wskórawszy, pozostawiając na placu stosy trupów, zdziesiątkowane bataliony jęgrów śpiesznie cofały się po bagnistej dolinie, pod ogniem nieustającym baterii polskich. Kozacy, jak czerwone gile, rozpierzchli się po błoniach, harcując i wydając na swój sposób wrzaskliwe okrzyki.

Po odparciu powtórne ataku na trzeci most nastąpiła przerwa w działaniach zaczepnych ze strony Rosyan. Tylko działa nie milkły jeszcze ze stron obu, z baterii nieprzyjacielskich, grzmiały gęsto i żwawo, z polskich zaś dość słabo, dla zaoszczędzenia na chwilę groźniejszą amunicji, której nie było do zbytku. W Ostrogu mniemano, że dnia tego atak już się niepowtórzy i ściągnięto z niektórych punktów oddziały na dawne stanowiska. Alie pod sam wieczór działa z baterii nieprzyjacielskich

odezwały się z nową gwałtownością i dały się zauważyć przygotowania do nowego ataku.

Tym razem, po niefortunnych próbach piechoty, ruszył pułk grenadyerów, kijowski i pod osłoną sześciu dział artylerii polowej, wywarł cały swój impet na most niezdobyty.

Huknęły wraz działa z nadbrzeżnych baterii polskich; na szarżujący pułk grenadyerów spadł deszcz pocisków, siejąc śmierć w szeregach. Nie wstrzymało to ich jednak w zapędzie i, zasławszy plac przedmostowy ciałami poległych, pierwsze szeregi już dosięgały mostu.

Lecz tu spotkał się również morderczy ogień ręczny fizyljerów pułku XII, w moment zaś potem żołnierz polski, pochyliwszy bagnety, skoczył naprzód w celu powstrzymania ataku nieprzyjaciela. Tu, u samego wejścia na most, zawrzał bój zacięty, lecz krótki. Grenadyerzy, zdziesiątkowani ogniem poprzednim, niebawem poczęli się chwiać i w końcu pierzchnęli w rozsypce, spędzeni przez piechurów Gorzeńskiego oraz prażeni w dalszej rejteradzie działowemi pociskami z wzniesionych nad brzeg baterii.

Po tak szczęśliwym odparciu wszystkich ataków tego dnia, kanonada zwolna umilkła pod wieczór ze stron obu. Noc przyniosła spokój i względny wypoczynek dla żołnierza polskiego, chociaż na wszystkich posterunkach ważniejszych czuwano przez całą noc, nie zmrużywszy oka, pod bronią, w przewidywaniu, iż nieprzyjaciół, pod osłoną nocy, zechce spróbować szczęścia i powetowania klęski wczorajszej.

Nazajutrz, dnia 26 czerwca, już od wczesnego rana dostrzeżono z Ostroga ruch niezwykle w obozie nieprzyjacielskim i zaczęto się gotować do obrony, nie wiedząc jeszcze, na jaki punkt pozycyi wyrwie się spodziewany atak. Niepewność ta wszakże co do zamiarów nieprzyjaciela trwała krótko. Mianowicie głównodowodzący siłami rosyjskimi, generał Kachowski, widząc niepodobieństwo zdobycia pozycyi od frontu przez most, zarządził tym razem atak flankowy.

Szara ċma piechoty zalała błonie pod miastem, od drogi Sławuckiej ku Międzyrzecowi. Równocześnie przed oczyma obrońców rozwinęła się groźna linia baterji rosyjskich, świeżo usypanych, z zaciągniętymi na nich nowemi działami, które nadeszły w nocy.

Teraz Rosyane mieli już pod Ostrogiem pięćdziesiąt przeszło dział i rozpoczęli z nich ogień gwałtowny na miasto.

Z pozycyi nadbrzeżnych baterje polskie, mniej liczne i nie posiadające poddostatkiem amunicyi, odpowiadały słabo i z rzadka. Przewaga artylerji rosyjskiej z każdą chwilą stawała się widoczniejszą. Od gęsto padających kul, liche, drewniane domostwa miasteczka jęły się zapalać tu i ówdzie. Czarne kłęby dymu zasnuły ulice, ogień począł się szerzyć i przybierać rozmiary zatrwajające. Panika padła na wylękłych mieszkańców cichego dotąd miasta.

Gorzały dachy nad głową, płonął ubogi dobytek, który rzucano na pastwę płomieni, bez próby prawie ratunku, byle ujsć z życiem. Tłumy

zrozpaczone i wyjące ze zgrozy wyroili się na ciśnie uliczki, wśród których tu i ówdzie z hukiem piekielnym pękał granat, kalecząc do koła ludzi i wszczynając w tem rojowisku przestrach nieopisany. Zdawało się, że to dzień sądu i ostatecznej straty nastal dla Ostroga.

Cyprian Czezel, stojąc w pierwszym szeregu swego szwadronu na stanowisku, na skraju miasta, miał przed oczyma te sceny, pełne żalostnej grozy. Od czasu do czasu, gdy powiew wiatru rozganiał kłęby dymu i odsłaniał się widok po za rzekę, Cyprian obracał oczy ku pozycjom rosyjskim, widnym z tego wyniosłego miejsca, jak na dłoni. W tej błękitnawej dali, można było dostrzedz wyraźnie masowe poruszenia sił nieprzyjacielskich, wielkim łukiem oskrzydłających zwolna pozycję. Poczem tumany gryzącego dymu znów zasłaniały widok, otulając miasto w swych rudych, duszących zwyczajach. Z ich niezbadanych czeluści wydobywał się zgiełk głosów rozpaczliwych i jęków. Z pobliskiej synagogi do uszu Cypryana dochodził wrzaskliwy lament żydostwa, wśród murów bóżnicy szukającego jedynie bezpiecznego schronienia.

Huk kanonady nie ustawał ani na chwilę. W rudych tumanach dymu przemknął opodał jakoś oddział kawalerji, potem zadudniły działa w śpiesznym pochodzie, lecz Cypryan nie mógł rozeznać baterji, ani kierunku marszu. W pewnym momencie mignął przed nim jeden z adjutantów Poniatowskiego. Niedługo potem rozebrzmiał donośnie głos szefa szwadronu:

— Czwórkami prawo w tył. Rysią z miejsca!

Szwadron wykonał zwrot według komendy i ruszył ulicami płonącego miasta. W szeregach wnet rozeszła się wiadomość—poszept, że, dla braku amunicji oraz żywności, wódz naczelny zadecydował dalszą rejteradę i wydał rozkaz śpiesznego opuszczenia Ostroga. Cyprian jechał w swoim szeregu, opuściwszy głowę, w milczeniu. Wraz z gorzkim dymem pożogi, jakowaś gorycz niewysłowiona weisnęła się do jego piersi i ucisnęła ją brzemieniem okrutnem.

Obrona Bugu.

Kościuszko, który w tej ostatniej walce udziału nie brał, stojąc dnia tego na czele brygady pod Kunowem dla zapobieżenia oskrzydleniu głównych sił Poniatowskiego, nie mógł utulić żalu, dowiedziawszy się o stracie tej tak ważnej i łatwej do utrzymania pozycji. W jego mniemaniu utrata Ostroga równała się klęsce, mogącej wyrzucić wpływ ujemny na dalszy przebieg kampanii.

Teraz szczupła armia polska cofała się w kierunku Dubna i Łucka, parta ze wszystkich stron nieustannie przez przemagające siły nieprzyjaciela.

W tym marszu Cyprian Czeczeli zaznał do gruntu doli żołnierskiej. W armii, której zaprowiantowanie tak było wadliwe, głód był towarzyszem żołnierza niemal nieodstępnym. Trudy wzrastały z dnia na dzień. Trwał czas upalny lata. W skwar niemiłosierny odbywano forsowne przemarsze, nocami wypadało czuwać bez zmruczenia powiek, gdyż awangarda rosyjska deptała po

piętach i nieustannie odbywały się utarczki z podjazdami kozackimi na tyłach cofającej się armii. Zwłaszcza w tylnej straży, w której właśnie znajdował się temi czasy Cypryan, służba była nader ciężka. Śmiertelne znużenie i niewczas pozbawiały reszty sił, ciągle potrzeba czuwania rodziła gorączkę, zarówno w skwarne godziny południa, jako też w parne, mgliste noce. Zdarzały się dni, kiedy Cypryan nie prawie nie jadł i nie spał wcale, od jednej zorzy do drugiej. Jak orzeźwienie wśród tych mąk, jakby kojący powiew z jakowychś oaz odległych, wśród nieprzebrnionej pustyni trudu i krwawego znoju, zlatywał kiedy niekiedy cudny sen krótki, niewysłowione półsenne widzenie, w którym jawiły się przecudne, miłosne żrenice, roztały się w uśmiechu, pełnym niedościgłej rozkoszy, znajome, wonne usta dziewczęce, pochylały się śnieżno-białe, litosne ramiona i z ciała, utrudzonego śmiertelnie, wyjmowały ostrożnie stęsknioną na śmierć duszę i niosły w jakoweś mgły wonne i miękkie, na czerwone wezgłowie sennej rozkoszy... Częściej jednak sen ciężki i twardy, sen bez widziadeł i bez czucia chwycił ciało i umysł w martwiące okowy, w krótkie godziny spoczynku między marszem a nocnym alarmem, kiedy ostry głos trąbki, dzwoniącej na trwogę, przenikał do iskierki zdrzemniętego czucia, porywał z ziemi, wołał do szeregu i rzucał na oślep w ciemność letniej nocy przeciw wyjącom chmarom szarżującego kozactwa.

W szeregach wiedziano, że w sztabie głównym wynikł zamiar obrony linii Bugu, ku któremu zbliżano się śpiesznymi przechodami. Nie był rów-

nież tajny plan głównodowodzącego siłami generała Kachowskiego, polegający na tem, aby ubiedz Polaków do Bugu, przeszkodzić w przeprawie, okrążyć i wziąć do niewoli całą niewielką armię księcia Poniatowskiego.

Aryergardę wiódł Kościuszko, osłaniając ze swą brygadą odwrót książęcej armii. Wojsko polskie szybko zbliżało się ku Bugowi, którego błękitna kręta wstęga w pewien jasny poranek załśniła wreszcie w oddali wypatrującym oczom żołnierzy...

Jednak tego samego dnia, przed południem, na tyłach kolumny Kościuszki ukazała się szeroka czarna ławica konnicy kozackiej, zachodząca od stron obu półkolem, jednocześnie zaś podjazdy doniosły, że za kozakami nadąża sam Kachowski z głównymi siłami.

Los armii polskiej w tej chwili był w zupełności zależnym od geniuszu Kościuszki.

Nadchodziła chwila rozstrzygająca. Albo noga polska nie ujdzie po za Bug, błękitniejący w oddali i kampania zaraz się skończy haniebną niewolą całej armii, zamkniętej jakby w matui, albo jakimś cudem geniuszu i męstwa drobnej garstki, atak mrowiących się pułków Kachowskiego zostanie odparty i ocalony zostanie honor armii polskiej, a wraz z nim może i los ojczyzny...

Kościuszko rozwinął front na pozycyi, na której tak nagle zaskoczony został, kazał odprzedkować działa, uszykował na skrzydłach brygadę jazdy i w cztery tysiące oczekiwał zbliżenia się dzieśięćkroć liczniejszej armii nieprzyjaciela.

Zbliżyła się ciemna chmara kozactwa, lecz na

widok groźnej postawy kawalerii Kościuszki nie odważyła się na atak, jedynie z krzykiem i wrzaskiem rozproszyła się w lewo i w prawo, obejmując linię wojska polskiego szeroko zakreślonym półkolem.

Lecz oto na rozległym i otwartym błoniu zamrowiły się rotę i pułki, wykwitły białe różycę dyków, runęły strzały armatnie. Nadechodził główny korpus Kachowskiego i rozpoczynał atak.

Odpowiedziały im słabo cztery działka, które miał Kościuszko przy swej brygadzie. Dymy zaczęły się snuć nad niziną, zaścielając tu i owdzie płaski widnokrąg. Powietrze zostało wstrząśnięte od huku salw działowych, pierwsze pociski gwizdnęły.

Kanonada wszakże nie trwała długo. Pod jej osłoną od głównej masy nieprzyjacielskiej oderwało się kilka pułków jazdy i z wciąż rosnącym pędem szło do ataku. Na przedzie szedł świetny pułk huzarów woroneskich.

Kościuszko podpuścił ich dość blisko, poczem ruszył z lewego swego skrzydła ukosem kawalerię narodową.

Obie jazdy zderzyły się z sobą w szalonej szarży, zmieszały, przeniknęły się nawzajem nawskroś, związały ze sobą w krwawej, zajadłej walce.

Kościuszko stał przed frontem prawego skrzydła, obserwując zdala przebieg bitwy. W chwili, gdy poznał, że siły szczupłej jego kawalerii słabną w nierównej walce, rzucił z prawego skrzydła resztkę jazdy, jaką posiadał, mianowicie pułk przedniej

straży szefostwa X ciał Lubomirskiego. Atak ten zdecydował zwycięstwo.

Przed furją natarcia świeżej jazdy konnica rosyjska drgnęła i rozproszyła się na wsze strony. Jasne błonie ubarwiło się, gdyby mnóstwem kwieciami, ciałami świetnie ubranych huzarów i czerwonych kozaków dońskich. W pościgu za pierzchającymi niedobitkami kawaleria polska, której Rosyjanie nie mogli przyjąć salwą z dział ani rotowym ogniem ze względu na pędzącą na przedzie swoją własną jazdę, wpadła na linię piechoty oraz jęgrów, wyrzuciła kilka batalionów, rozszerzyła zamieszanie i popłoch w armii nieprzyjacielskiej i pod osłoną grzmiących dział artylerii Kościuszki powróciła na swe stanowisko.

Wódz rosyjski, odniósłszy w tej potyczce znaczne straty w huzarach i kozakach, ujrzał się zmuszony do wyrzeczenia się pierwotnego swego planu oraz do cofnięcia się w stronę Włodzimierza.

Honor armii polskiej został ocalony, przeprawa jej przez Bug zabezpieczona w zupełności.

Na skutek tej potyczki zwycięskiej coraz bardziej utwierdzała się w umysłach żołnierskich już dawniej kiełkująca świadomość tego, za czyją to sprawą ów długi odwrót nie zamienił się dotąd w straszliwą klęskę, lecz przeciwnie, stawał się poehodem zwyciężkim i pełnym chwały, ów dziwny odwrót, w którym ścigający był nieustannie zwalczany i bity przez tego, który cofał się i uchodził... Świadomym przychodził na myśl Ksenofontes i niezrównany odwrót dziesięciu tysięcy Greków...

Prosty żołnierz dorozumiewał się pomалу i co-

raz jaśniej, czyj to geniusz jest puklerzem i obronną tarczą wszemu wojsku w te dni utrapienia i trudów. Cześć i uwielbienie otaczały coraz jawniej „amerykańskiego generała”, żywym płomieniem wybuchala ku niemu miłość z wiernych na śmierć, żołnierskich sere...

W dniu 8-ym lipca odbyła się przeprawa całej armii księcia Józefa przez Bug pod Bindugą, poczem nastąpiła dyzlokacya wojsk na brzegu lewym, mająca na celu ułatwienie obrony linii tej rzeki przed nieprzyjacielem. Wódz naczelny z głównym korpusem stanął w Świrżu, dywizję Wielhorskiego ustawił nieco na północ od Siedlina, Kościuszcze rozkazał stanąć koło Dubienki, pomiędzy wsią Uchanką a Kulemczycami. Pułkownik Poniatowski został wysłany z dwoma pułkami jazdy aż do Włodawy, w celu utrzymania ciągłego kontaktu z posterunkiem litewskim w Brześciu. Aby wytworzyć łączność pomiędzy temi trzema dywizjami, podpułkownik Przybyszewski z batalionem i 3 armatami stanął naprzeciw Opalina, zaś major Krasicki z 2 kompaniami piechoty oraz 2 armatami zajął pozycję pod Dorohuskim.

Kościuszek, po rozpatrzeniu się w wyznaczonej mu pozycji, uznał ją za niedogodną i niebezpieczną i oświadczył wręcz księciu Poniatowskiemu swoje zdanie. Nie pochwalał również przyjętego przezeń systemu obrony Bugu.

Wódz naczelny z ledwie dostrzegalnym zmarszczeniem brwi przyjął to oświadczenie podkomendnego generała i zapytał z przekąsem:

— Przyganasz waćpan zarządzonej przeze-

mnie dyzlokacyi wojsk wzdłuż lewego pobrzeża. Wolnoż zapytać, dla jakichże to racyi?

— Mniemam, iż bronić ośmiu mil rzeki dla małej wody wszędzie przechodniej jest zadaniem niepodobnem — spokojnie, lecz stanowczo odrzekł Kościuszek.

Poniatowski zamyślił się na moment, poczem, nie dając się przekonać, odezwał się grzecznie, lecz z przekorą:

— Argumentum nie pozbawione pewnej słuszności przytoczyłeś waćpan. Zważ jednak, proszę, iż wydłużeniem naszej linii obronnej znacznie utrudniamy nieprzyjacielowi przeprawę. Co się zaś tyczy twojej pozycji, generale, to dzięki szancom, które kazałem usypać pod Uchanką, uważam ją za nader mocną.

— Przeciw tej pozycji właśnie mam zarzut poważny, mości książe — z nieubłaganą stanowczością upierał się Kościuszek.

Książe Józef ruchem niedostrzegalnym zwiódł atlasowe swe brwi.

— Zarzut?... Jakież to? — zapytał z przykrem zdziwieniem.

— Ten, że w przypadku cofania się z tej pozycji, jedna nam tylko pozostaje droga, przez groblę, którą nieprzyjaciół z baterii, usypanych na brzegu przeciwnym, łatwo będzie mógł strychować. Należy przewidzieć i taki ewenement, mości książe, a w tym przypadku mielibyśmy zupełnie odcięty odwrót.

Książe Józef zasępił się, po chwili zaś zapytał oschle:

— Jakież więc masz plan generale?

— Upatrzyłem miejsce, oddalone o dwa strzały armatnie od pozycyi, które od zachodu i północy osłania las po stronie galicyjskiej. Granica austriacka przez żadną ze stron wojujących zgwałconą być nie może, oparłszy tedy o on las tyły swojej kolumny, zabezpieczyłbym ją od możliwego oskrzydlenia i byłbym w stanie skutecznie odpierać atak nieprzyjaciela na pozycję. Gdybyś, mości książę, raczył obejrzeć owo miejsce uznałbyś niewątpliwie jego zdadność, jako pozycyi obronnej...

Poniatowski niecierpliwie skinął ręką:

— Postąpisz tedy waćpan stosownie do okoliczności. Ufam jego zmysłowi strategicznemu.. Utrzymaj mi tylko nadbrzeżny szaniec pod Uchan-ką—za wszelką cenę.

Jakoż gdy tylko wódz naczelny odjechał do głównej kwatery do Świrza, Kościuszko wnet ustawił swoją dywizję na pozycyi według obmyślnego z góry planu. Mianowicie prawe skrzydło i tył swej małej armii oparł o samą granicę galicyjską i osłonił lasem, lewe przyparł do wioseczyny nad Bugiem, którego brzeg w tem miejscu był nieprzystępny wcale. Od frontu obóz obwarował i umocnił baterjami oraz fleszami, zabezpieczając sobie jednocześnie odwrót albo na Kunów, albo na Dorohusk, obie bowiem te drogi las osłaniał.—Tak obwarowawszy pozycję, ufny w nietykalność granicy neutralnego mocarstwa, jął oczekiwać na zbliżenie się nieprzyjaciela.

Jeniec.

Cyprian Czezel na czele rekonesansu, złożonego z sześciu kawalerzystów oraz wachmistrza z jego szwadronu, o samym brzasku wyruszył z obozu pod Dubienką w celu zasięgnięcia języka o nieprzyjaciela. W tę porę upalnego lata Bug stał nader nizko i nie przedstawiał żadnej niemal trudności dla przeprawy w bród w miejscach wiadomych. Rekonesans przeprawił się w pobliżu Kłodniowa, zaczem posuwał się czas jakiś wzdłuż rzeki, po równinie gładkiej jak okiem sięgnąć i dość grzązkiej, kierując się ku widnej w oddali lichej wiosczynie. Dzień lipcowy był pogodny i już od wczesnego rana zapowiadał się okrutny upał. Powódź jaskrawego blasku zalewała okolicę płaską i dość monotonną dla oka, której jedynym urozmaicheniem była błękitna, kręta wstęga rzeki oraz sine taśmy lasów dalekich, mgłących się na widnokręgu. Cyprian czuł się niezmiernie dumny z poruczonego sobie zadania i w głębi duszy przyrzekał sobie nie

szczędzić starań, aby jaknajgodniej odpowiedzieć położonemu w nim zaufaniu i z trudnego zadania wywiązać się należycie. Mimo młodzieńczą zarozumiałość, która ufa, że sprosta wszystkiemu, nie-małą otuchą napawała go myśl, że ma przy swym boku starego wachmistrza, na którego doświadczeniu polegać może śmieie w każdym wypadku. Jakoż po radzie ze starym wilkiem, stanęło, że wypada najprzód ostrożnie podsunąć się do najbliższej osady, wybadać jej mieszkańców i zgodnie z ich wskazówkami pokierować dalsze kroki oddziału. Ale do wioski zostawało jeszcze kilka wiorst drogi. Na płaskiej, otwartej równinie, jak okiem sięgnąć, nie było widać nic podejrzanego, więc kawalerzyści bez wszelkiej obawy mogli wzniesć głosy i zaśpiewać, dla skrócenia czasu, ulubioną piosnkę żołnierską, powstałą temi czasy w obozie i będącą podówczas na wszystkich ustach.

„Żywo nam serce porusza ochota,
Że się do wojny otwierają wrota —
Cieszy ten odgłos Koronę i Litwę,
Że mieć będziemy... bitwę.
Niech się komu, jak chce zdaje,
Że próżniacy, żeśmy zgraje ¹⁾
Idźmy na wojnę z ochotą.
Zmażmy podłość mężstwem, cnotą!..”

¹⁾ Aluzya do wyrazu, użytego przez księcia Stanisława Poniatowskiego (podskarbiego w. lit.) w jego mowie sejmowej, w której nazwał dawną kawalerję narodową—*zgraję*.

Pieśń tę przechował Seweryn Bukar, patrz „Pamiętniki”, str. 194.

Głosy z potężnych piersi płynęły szeroko i dźwięcznie po rannej rosie i gubiły się bez echa w dalekościach krajobrazu, pełnych jeszcze porannej, srebrnej mgły. A oni śpiewali dalej:

„Może z nas który śmierć poniesie w zysku,
Broniąc Ojczyzny i braci uciску,—
Lepiej nas niechaj mogiła zagrzebie,
Lepiej w boju gięmy sami,
Jak się mają dzielić nami—
Cóż nam po życiu w niewoli?
Lepiej na placu szukajmy doli.

.....
Dajże nam Boże doczekać tej pory,
By do ataku nachylić propory,
By szwadronami kazano nacierać,
Miło nam takie rozkazy odbierać...
Na cóż nam pomoc Turków i Prusaków,
Gdy dosyć w kraju czułych jest Polaków,
Niechaj całemu światu będzie jawno,
Że żyje Polak, co był zginął dawno...”

Zbliżywszy się na małą wiorstę ku wiosce i nie ufając zapewnieniom spotkanych chłopów, że ani we wsi, ani w najbliższej okolicy niema żadnego wojska, szczupły oddział zboczył w stronę ku młodemu zagajnikowi i począł ostrożnie zaroślami przekradać się i zbliżać ku wiosce. Ale spokój i cisza, panująca w całej okolicy, dowiodły niebawem, że nieprzyjaciela w pobliżu niema i skłoniły rekonesans do wejścia do wioski. Cypryan natychmiast rozkazał poszukać kilku starych gospodarzy gdy ci zostali niebawem sprowadzeni, począł ich badać, co wiedzą o nieprzyjacieln. Zeznania ich były proste i jednogłośnie: ani w wiosce, ani w ca-

tej okolicy nie widziano ani jednego uzbrojonego czleka, któryby miał pozór żołnierza. Już Cypryan stracił wszelką nadzieję, aby mógł tu powziąć wśród ciemnego i zaleknionego chłopstwa jakąkolwiek wiadomość, gdy naraz nadjechał z wozem chłopiec, powracający z dalszej drogi. Ów był aż pod Włodzimierzem i powiadał, że widział w drodze lotne oddziały kozaków i że słyszał, jakoby w samym Włodzimierzu było pełno wojska obcego.

Na skutek tej wiadomości oddział wywiadowczy natychmiast zmienił kierunek i ruszył ostro w stronę Włodzimierza. Koło południa oddział wjechał w dość gęsty las. Konie były strudzone odbytą drogą, ustawały z upału i pragnienia. Należało dać im choć krótkotrwale spoczynek i popas, bez czego o dalszym marszu nie było co myśleć. Na polance, u szemrzącego w trawie źródła, kawalerzyści zsiadli z koni i zaczęli je poić, poczem sami pomyśleli o posiłku.

Cypryan, postawiwszy jednego z nich na straży u wylotu polany, wyciągnął się z rozkoszą wśród miękkich, wysokich traw i, podłożywszy obie dłonie pod głowę, z oczami, utkwionymi w wysoki, promienny błękit lipcowego południa, utonął w dumach. Roilo mu się, że się znajduje w jednej z najpiękniejszych okolic Podola, w ogrodzie rajskim swego szczęścia, że mu pachną tamtejsze zioła i kwiaty, że go oblatują dokoła powiewy i wonie tamtego dnia... Marzenie stawało się z każdą chwilą coraz piękniejsze, coraz mniej wiarogodne... Oto, wśród splotów ziół i gałęzi, nisko zwieszających się po nad nim, zjawily się przecudne żrenice, płomie-

niejące wyrazem żywego uczucia, oto rozchylały się przesłodka usta dziewczęce w uśmiechu, pełnym obietnic niewymownych, oto pochylała się nad nim coraz niżej i niżej twarz sereu najdroższej urody, przepiękna i prawie anielska... Widziało tak było blizkie i tak ludzaco uchwytnie, że ku niemu same się wyciągały ramiona, usta gotowe były wyszeptać imię jedyne i umiłowane nad wszystko...

Nagły strzał i wnet po nim piekielny hałas brutalnie wyrwał młodego rycerza z czarownego śnienia. Cypryan porwał się z murawy na równe nogi i instynktownie chwycił za broń. Lecz było już za późno. Kilkoro silnych niewidzialnych ramion trzymało go już za bary, wiązało mu ramiona. Chciał się bronić i pałasz zaciskał w garści z uporem rozpacz, ale niebawem musiał uleść przemocy. Rozbrojony i skępowany, struchlałym zgrozy oczyma patrzył na polankę, wśród której gospodarzyli Kozacy, uporawszy się szybko z opadniętymi zniecka jego kawalerzystami.

W kilka chwil potem, siedząc na swym własnym koniu, wzięty wpośrodek hurmy kozactwa, Cypryan Czeczcel pędził co tchu w kierunku niewiadomym. Myśl krusząca i pełna goryczy, że dał się tak nieopatrznie podejść nieprzyjacielowi, że nie odpowiedział swemu zadaniu—zapuszczała coraz głębiej jadowite swe żądło w rdzeń serca. Gdy nieco ochłonął z pierwszego wrażenia i zaczął trzeźwiej w rozważać o swoim losie, nowa rozpacz przygniotła go, jak głaz niewzraszony. Oto utracił wolność, może na długo, prawdopodobnie na cały czas trwania wojny, nie weźmie już więcej udziału w tej kam-

panii pełnej chwały, choć nieszczęsnej i gdy towarzysze broni krew przelewać będą za wolność, on trawić będzie w niewoli dni gnuśne i pełne goryczy. O, czemuż raczej nie poległ od kuli lub ba-gnetu, na placu boju, z bronią w ręku, jak prawemu żołnierzowi przystało, niż się dostać w to haniebne jeństwo, które — przeczuwał to już w tej chwili — stanie się dlań męką niewypowiedzianą, bez świtu jakiegokolwiek otuchy...

Smutne te rozmyślenia przerwał mu widok miasta, ukazującego się w oddali. Otumanionemi mgłą rozpaczy oczyma Cypryan poznał Włodzimierz, przez który tak niedawno przeciągała armia księcia Józefa. Teraz całe przedmieście oraz ulice miasta zapchane były doszczętnie żołdactwem rosyjskiem. Szare kolumny piechoty przeciągały bez końca, na podobieństwo strumieni, rozechodzących się z niewiadomych podziemnych głębi, głucho turkotały koła ciężkich dział i jaszczków, tu i owdzie przebiegały lotne oddziały konnicy, przeważnie kozaków dońców. Gdzieindziej wąskie ulice miasteczka były literalnie zapchane furgonami z amunicją i wozami ze spyżą, tak, że wszelki ruch w tych arteriach był zatamowany. Małemu oddziałowi kozaków w takich razach wypadało okrążyć takie zbiegowiska, i przeciskać się bocznymi uliczkami, gdzie strumień ludzi i koni ciekł i sączył się z trudem niemalym. Na widok jeńców nieraz zrywały się okrzyki, brzmiały nienawiścią, padały słowa przekleństw i obelg, wyciągały się pięści, uzbrojone w broń wrogą. W ostrych spojrzeniach żołdactwa, ciskanych na twarz jeńców, oprócz błysków nienawiści

i nasyconego tryumfu, widniał pewien rodzaj ciekawości i współwiednej grozy na widok tego nieprzyjaciela, który, ścigany i szczuty przez niezliczone zgraje kozactwa, przez tak długi przeciąg czasu, na takiej przestrzeni, przystawał co krok, jak lew w odwrocie, ciskał pioruny swego męstwa, szerzył popłoch w naciskającej zewsząd tłuszczy, siał śmierć i klęski. Chwilami, gdy taki wybuch przybierał pozory groźnego niebezpieczeństwa, eskortujący kozacy dobywali szabli lub zniżali swe piki, dla zabezpieczenia jeńców od doraźnych usiłowań rozpasanej zemsty. Gdzieindziej spotykano przesuwających się oddziały świetnych huzarów lub przejeżdżających ze świtą i w pojedynkę oficerów sztabu w błyszczących od złota mundurach. Bliskość głównej kwatery dawała się poznać na każdym kroku.

Na obszerniejszym placu przed okazałym domem zatrzymali się dońcy i dowodzący ataman, zeskoczywszy z konia, udał się ku wejściu, przeciskając się przez ciżbę wojskowych wszelkiej broni i wszelkich stopni, zebranych na placu. Okna pięknego domu były rozwarłe na oścież i z wnętrza buchały dźwięki wojskowej orkiestry, grzmiące tony trąb i piszczałek. Eskorta wnet uformowała się na środku placu w ściśnięty czworobok, mając w pośrodku gromadkę jeńców. Niebawem dokoła kozaków utworzył się łańcuch gawiedzi wojskowej, ciekawej przyjrzeć się rzadkiemu widokowi.

Po jakimś czasie ataman ukazał się z powrotem w towarzystwie młodego oficera w mundurze adjutanta. Ataman, salutując, podwiódł go ku jeńcom i wskazał na Cypryana, mianując go dowódcą

schwytanego patrolu. Oficer dał Cypryanowi znak ręką, aby szedł za nim i skierował się ku drzwiom, przy których z obu stron stały wyciągnięte sztyldwachy, prezentując broń przed oficerem. Wchodząc do przedpokoju, ów oficer przez ramię rzucił wzrokiem na stargany podczas niedawnej walki ubiór Cypryana i rzekł łamaną polszczyzną:

— Przywiedź waćpan do porządku swój uniform—za chwilę staniesz przed generałem głównie komenderującym.

Drzwi się rozwarły — i Czeczcel znalazł się w obszernej sali, wobec widoku hałaśliwej biesiady. Przy długim stole, zastawionym resztkami sutoj uczt, pełnym butelek i pucharów, siedziało kilkunastu oficerów w błyszczących mundurach sztabowych. Śnać biesiada była obfita i wino lało się strumieniem, gdyż czerwone twarze biesiadników zdradzały humor wyśmienity, oczy błyszczały podnieceniem, wesół gwar wypełniał salę, tłumiony kiedy niekiedy żywszym wybuchem grzmiącej kapeli. Przy wejściu oficera, który wprowadził Czeczela, gwar rozmów uciszył się i oczy wszystkich z ciekawością zwróciły się na jeńca.

Oficer w mundurze generalskim, już w latach, z siwiejącą czupryną i czarnymi krzaczastymi brwiami, rozwalony i oparty na łokciu wśród biesiadników, patrzył na Cypryana przenikliwym spojrzeniem wylupiających, rozweselonych winem oczu i odezwał się głosem grubym, na wpół żartobliwym:

— *Po miłości, czy nie po miłości, dobro pożalował k'nam w gosti*, panie oficerze!... Trafieś w sam dobry czas—ot i muzyka i wino — *pir na sławu*—

jakiego pewnie nie wyprawi wam wasz Poniatowski... — śmiał się głośno śmiechem napozór dobrodusznym, w którym jednak przebijały ostre, ukryte nuty.

Zakrzyknął na służącego:

— *Ej! człowiek!* podać jemu szklankę wina.

Czeczcel odmówił przyjęcia. Wśród tego koła uczujących stał bardzo blady, jednak spokojny, czując na sobie ironiczne lub nienawistne wejście wielu oczu, wydany w tej ciężkiej dla niego chwili na szyderstwa i obelgi tej gromady. Ucisk, podobny niewymownej męce, gniótł mu serce, jednak serce to biło mu w piersi tętnem równym i męznym.

— *Nie chcesz?*—rzucił Kachowski i zmarszczył brwi—*Nu, nie nado*. Niewolić nie będziemy. Wolisz o suchem gardle, tak powiadaj: Cóż porabia wasz książę? Długoż jeszcze zamyśla uwijać się przedemną? Wszystko jedno nie ujdzie mi... jeśli nie prędzej, to i tak pojmam go pod Warszawą. Nu—a tam—będzie mu już *szabasz!* Już tam mi się z rąk nie wykreści...

— Daleka to jeszcze droga, panie generale — spokojnie odrzekł Czeczcel.

— Co? daleka droga?—poruszył się Kachowski.—Obaczmy, kto ją prędzej przebedzie: wy — czy ja?

I podparłszy się pod bok ręką, z ironicznym uśmiechem spojrzał na Cypryana.

— Daleka droga, powiadasz? A czy nie dalszą jużemy przebyli, pędząc za wami w tropy, od samego Dniestru poczawszy aż tu, do Bugu? Wzdłuż

całego Podola i Wołynia goniliśmy waszego księcia jednym tchem, śmiało rzec mogę...

— Tylko, że wam po dwakroć tego tchu zabrakło, mości generale—z niezmiennym spokojem przemówił Czeczela.

— Jakto? — ozwał się Kachowski, niezdolny w lot aluzji pochwycić.

— Ano, pod Zieleńcami i Ostrogiem—wyrzucił Cypryan, z ledwie dostrzegalnym uśmiechem ironii na zaciśniętych ustach.

Nagle wśród biesiadników rozległ się gromki śmiech i czyjś pełny, brzącający weselością głos zawołał po polsku:

— A daj cię katu! Tożes mu szpetnie przyciął! lubię to, zuchu!

Cypryan zdumiony podniósł oczy na tego, kto na tak dziwny zaiste w tem zgromadzeniu wybryk sobie pozwolił. Z niemalem zdziwieniem ujrzał mężczyznę w sile wieku, tuszy wspaniałej, o czuprynie wysoko podgolonej „more antiquo”, a co dziwniejsze, przybranego w uniform wojskowy polski. Ów pan, patrząc na Czeczela rozweselonemi oczyma, nie przestawał śmiać się głośnym i rubasznym śmiechem. Dopiero, zauważywszy mundur hetmana wielkiego, Cypryan domyślił się kogo ma przed oczyma.

Ów śmiech Branickiego, oraz niespodziewana odpowiedź Czeczela zmieszały na chwilę Kachowskiego.

— At, to była jeno potyczka przedniej straży—mruknął z udaniem lekceważeniem.

Branicki z rozweselonem ciągle obliczem, obrócił się ku niemu:

— Wyznaj jednak, generale, że Polacy dowiedli w tych potyczkach, iż umieją bić tego. Wierzę, że nie w smak wam poszło to wspomnienie.

Kachowski zachnął się urażony.

— Tak mówicie, mości hetmanie, jak gdybyście bardziej sprzyjali sprawie tych buntowuszczyków, niż naszej—odezwał się tonem podrażnionym.

Branicki przestał się śmiać i spojrzał na generała rosyjskiego dość wyniosłe.

— Moja obecność w waszej kwaterze, generale, dosyć mówi sama za siebie—ozwał się, porzucawszy poprzedni ton żartobliwy — abym widział jeszcze potrzebę tłumaczyć się przed wami z moich intencji. I jeżeli teraz co rzekę w tej materii, to mając jedynie na względzie obecnego tu oficera z armii Poniatowskiego, w której, jak wiem, opacznie tłumaczą moje najszczerze afekta i intencje względem Rzeczypospolitej i mają mnie nieomal za zdrajcę....

Z temi słowy hetman spojrzał znacząco na Cypryana Czeczela, jakgdyby ku niemu głównie dalszą swoją mowę obracał, pełną rozgoryczenia.

— Nazywają mnie zdrajcą za to, że m wspólnie z niewielu innymi mężami przezornymi, umięjącymi przejrzeć blizkie niebezpieczeństwo, zastawił się za zagrożoną naszą złotą wolność i szczęście tej Rzeczypospolitej.. Żem przeciw onemu spiskowi warszawskiemu, uknutemu przez zapalone i wichrycielskie niektóre umysły, ku obaleniu dotychczasowych swobód naszych i przywilejów, ku niebywalemu wzmocnieniu władzy królewskiej, coby się

równało okrutnej tyranii oraz niewoli, postanowił położyć na wspak swoje *veto*, swój głos wolnego obywatela, swoją powagę i władzę najwyższego wojskowego urzędnika... Żem zaufał jedynej potędze, zdolnej podtrzymać dawną świetność Rzeczypospolitej, potędze Najjaśniejszej i Najmiłościwszej ku nam imperatorowej Katarzyny, z której pomocą niewątpliwie uda nam się obalić tę potworną ustawę sejmujących wiehrzycieli i przywrócić dawny porządek i pomyślność w zwieczonym kraju... Oto za com otrzymał miano zdrajcy, którem bluzgają mi w oczy zapalenicy i rokoszanie!... Lecz, na honor! — jakież to obłąd was oślepia? — wołał grzmiącym głosem, zwracając się już wprost do Czechela — jakowe fatum zaćmiewa wasze umysły?... Przeciw komuż to podnosicie oręż bratobójczy?... Oto przeciw własnym sprzymierzeńcom, którzy przychodzą ratować klejnot waszej wolności, przeciw piersiom waszej własnej matki, której krew całym swym ciężarem spadnie na wasze głowy!...

Zdawało się, że pioruny tryskały z oczu hetmana, gdy tak grzmiał w gniewnem uniesieniu przeciw tym, którzy byli nieprzyjaciółmi jego politycznego stronnictwa. Z pochyłą na piersi głową, jakby przybity tem, co słyszał, stał Cyprian Czechel w pośrodku sali biesiadnej, pod potokami grzmiącej wymowy hetmana. Lecz gdy Branicki na chwilę przerwał mowę, jakby w oczekiwaniu odpowiedzi, młodzieniec podniósł pobladłą twarz i patrząc jasnym wzrokiem w gniewem zapalone oczy hetmana, dzwicznym głosem przemówił:

— Wiem-ci ja to tylko, co nam powielokrotnie książę powtarzał, iż wszelki obcy żołnierz, bez woli narodu na ziemię naszą wstępujący, sprzymierzeńcem nam nie jest i że takowego z bronią w ręku spotykać powinnością jest każdego cnotliwego Polaka, a tembardziej żołnierza, który za swą ojczyznę poledz przysiągł.

Branicki zachnął się niecierpliwie.

— Widzę, że nie z głową waćpana pojąć wyłuszczone tu przezemnie racje, chociaż jasne są, właśnie by samo słońce. Obcy żołnierz, powiadasz? Zali to on sam, w celu wrogim tej Rzeczypospolitej, wszedł orężnie do ziemi naszej? Nie, jako żywo! Właśnie najprzezorniejsi synowie tej Matki wezwali tego sprzymierzeńca na obronę najistotniejszych jej praw i swobód, zagrożonych przez garstkę szaleńców i wiehrzycieli, którzy przewrotnymi swemi hasłami otumanili i pociągnęli za sobą część narodu. Wdzięczność i ufność, nie zaś występny opór należy się tej ręce, która wyciąga się ku nam z pomocą, mając li dobro nasze na względzie... Chciałbym, by te moje słowa znalazły echo w całym kraju, a zwłaszcza w wojsku zbuntowanym. Skoro tedy znajdziesz się waćpan w obozie księcia Józefa, powtórz wiernie to wszystko, coś tu ode mnie usłyszał.

Zaczem pochylił się ku Kachowskiemu i ozwał się półgłosem:

— Generale, tuszę, że nie odmówisz mej prośbie. Zwróć temu oficerowi wolność i pozwól mu odjechać do obozu Poniatowskiego. Zależy mi na

tem. Zresztą, nie wiele na tem stracisz, gdyż nie jest to oficer wysokiego stopnia.

Kachowskij na razie obruszył się.

— Jak to, puścić tego ptaszka na wolność! Zwłaszcza potem, gdy obejrzał nasze stanowiska i armię, by niezawodnie o wszystkim, co wyszpiegował, doniósł sztabowi Poniatowskiego? To niepodobna!

Branicki uśmiechnął się szyderczo:

— Miałebyś lękać się tego, generale? Ty, z twoją armią, czterokroć liczniejszą od tamtej garstki Poniatowskiego?...

Jednocześnie jeden z adjutantów pochylił się ku Kachowskiemu i szepnął mu po cichu kilka wyrazów. Generał potarł dłonią czoło i po chwili odezwał się do Branickiego z pewnem wahaniem:

— Wreszcie możnaby uczynić zamianę... Przypomniałem sobie właśnie, że oni tam mają jednego z oficerów mojego sztabu, jeszcze od czasu Ostroga... Lecz w jakim sposobie uskutecznić wymianę?...

— Puść tego oficera na słowo — podchwycił Branicki — gdyby Poniatowski nie zgodził się na wymianę, jeniec powróci.

— A jeśli nie wróci?...—z ironią zagadnął generał rosyjski.

Branicki poruszył się i swemi ognistemi żrenicami spojrzał Kachowskiemu prosto w oczy.

— Żołnierz polski danego słowa nie łamie, wiedz o tem, generale — odezwał się ostrym tonem, którego nie starał się zmiękczyć. — Zresztą, by cię uspokoić, ja zań ręczę honorem!

Zwrócił się do Czezel:

— Czy gotów jesteś związać się słowem, że powrócisz, gdyby zamierzona wymiana nie doszła do skutku — zapytał, mierząc młodzieńca wzrokiem przenikliwym.

— Daję na to słowo.

— Jesteś więc wolny. Kozacy, którzy cię odprowadzą do waszych pikiet, zabiorą z sobą rzezonego oficera rosyjskiego.

Kachowskij skinął ręką jednemu ze swych adjutantów, aby wyprowadził jeńca. Lecz Czezel nie ruszył się z miejsca i jego twarz zdradzała pomieszanie.

— Jesteś wolny—powtórzył Branicki.

Młodzieniec podniósł oczy i odezwał się głosem z lekką drżącym, lecz śmiało:

— Sam nie powrócę do obozu, jeśli mi nie będzie wolno zabrać z sobą moich podkomendnych

Kachowskij znów się zawahał.

— Czyżbyś, generale, mniej szacował swego oficera sztabu, niż dziesięciu żołnierzy,—z ironią zagadnął Branicki.

Kachowskij z rezygnacją skinął ręką.

W godzinę potem Cyprian Czezel wraz ze swymi ulanami, pod eskortą dwudziestu kozaków, powrotną drogą dążył ku obozowisku armii polskiej. Nazajutrz o świcie też sama eskorta odprowadzała do Włodzimierza sztabowca rosyjskiego.

Pod Dubienką.

Dnia 18 lipca od wczesnego rana dał się słyszeć w obozie pod Kładniowem huk dział, obwieszczający, że nieprzyjaciel w tamtem miejscu kusi się o przeprawę. Podjazdy, wyprawione w tamtą stronę, stwierdziły niebawem, że wódz rosyjski przeprawił się na brzeg lewy i stanął obozem pod Zamłyniem. Cały dzień następny grzmiała bez przerwy kanonada w stronie Dorohuska, świadcząca, że atak został skierowany na pozycję majora Krasickiego. Kościuszko wysłał natychmiast podjazdy w tamtym kierunku; z jednym z nich, już pod wieczór, przybył adjutant Poniatowskiego z piorunującą wieścią, że główny korpus opuścił swoją pozycję i cofa się na Chelm, oraz z rozkazem księcia dla Kościuszki tego brzmienia: „Zaklinam W. Pana, abyś pozycję swoją jaknajskuteczniej i jaknajdłużej utrzymywał”.

Kościuszko z obliczem skamieniałem słuchał

sprawozdania oficera z przebiegu akcji. Atakiem miał kierować generał Tormasow, który tego dnia o świcie wyruszył był z pod Zamłynia pod Dorohusk. Wysłany przodem pułkownik Władyszyn z muszkietierami smoleńskimi znalazł i opanował bród. Zaczem Tormasow z pułkiem kozaków i karabinierów konnych, oraz z trzema pułkami piechoty i 28-iu działami zabezpieczył ustawianie mostu pontonowego, po którym wnet przeprawiły się kolumny. Główny atak został skierowany na posterunek pułkownika Grochowskiego w Bereźcach i Śpichlerzu. Major Krasicki rozsypał swych strzelców w ogrodach i młynach i stawiał skuteczny opór nieprzyjacielowi, dopóki cały Dorohusk nie stanął w płomieniach, zapalony bombami i fajerbalami przez artylerję rosyjską. Wówczas się cofnął i w pół drogi spotkał samego księcia Józefa, dążącego ze spóźnioną pomocą z batalionem i działami. Jednocześnie nadeszła wiadomość od Przybyszewskiego, że pomiędzy Huszczą a Opalinem stanęła silna kolumna generała Lewanidowa. Te względy zniewoliły księcia do odwołania Wielhorskiego i zarządzenia odwrotu w kierunku Chelma.

Otrzymaawszy taką relację i rozkaz, Kościuszko zdecydował trzymać się na obranej pozycji do ostatka. Ufał obronności miejsca, nadewszystko zaś ufał męstwu wypróbowanemu żołnierzowi, którego potrafił natchnąć zapalem i determinacją obrony walczącej. Późnym już wieczorem objechał jeszcze raz całą pozycję i wydał ostatnie zarządzenia przed

atakiem, którego z wszelką pewnością należało oczekiwać nazajutrz.

Zeszła noc gwiazdzista, cicha i parna, jak przed burzą. Cyprian Czechel, wraz z kilku kawalerzystami swego plutonu wyznaczony został na nocne czaty po za Uchanką, od strony Zamłynia. Niewielki wzgórek, na którym stanęła placówka, panował nad rozległą okolicą. Na jakie tysiąc kroków w przodzie ledwie, ledwie przeblyskiwał w gwiazdzistym brzasku spokojny nurt Bugu, płynąc w płaskich brzegach. Po prawej ręce, nieco w tyle, widniały nędzne chałupy wsi Uchanki a jeszcze dalej, z półmroku letniej nocy, dźwigał się garbaty bok potężnego szanca, który, jak wąż, pogrążony we śnie wyciągał leniwie swe potworne cielsko w kierunku niewidocznych Kulemczyc. Daleko na widnokręsie, z mrocznego padolu nocy przeblyskiwały niewyraźnie mdłe światełka odległej Dubienki. W miarę zapadania ciemności, w lewo na nieboskłonie rozniecał się coraz jaśniejszy brzask krwawy, cicha i złowieszcza luna niszczonego przez płomienie Dorohuska. Wyteżając wzrok w tym kierunku, można było dostrzedz wśród mrocznej płaszczyzny tamtej okolicy niewyraźne miganie licznych światel, tam i ówdzie, świadczących o dyslokacji pojedynczych dywizji rosyjskich.

Gdy młody kawalerzysta wypatrywał oczy, starając się z wyniosłości wzgórką przeniknąć zmierzch nocy letniej po najodleglejsze krańce, oto naraz, niewiadomo z kąd, okrutny, niewysłowny ucisk spadł na drżącą duszę, jak drapieżny jastrząb na

upatrzoną zdobycz. Krogulecze, bezlitosne szpony wpłyły się w najistotniejszy rdzeń serca, z którego jęły się sączyć krwawe, gdyby ognista smoła, palące lzy... Bliskie przecucie czegoś, co gorzkie i nieuniknione, jak sama śmierć, młyńskim kamieniem zwałiło się nagle na pierś zmartwiałą i pozabawioną tchu. Młode oczy zmierzchły i stały się już niezdolne więcej przebić żałobnego kiru tej nocy posępnej...

Dziwny ucisk nie popuścił piersi, aż do chwili złuzowania warty, co nastąpiło już dobrze z północy. Cyprian, ociężałe i sennie, jakgdyby brzemie niezdolne ciążyło mu na ramionach, dowlókl się do stanowiska, zajmowanego przez jego regiment, odnalazł swój namiot, zwałił się jak kłoda na ziemię, i zapadł odrazu w kamienny sen. Atoli wkrótce niepokojące widziadła obsiadły jego twarde węzłowie, sennie, wpółjasne majaki opadły zdrzemniętą świadomość. Oto wydało mu się, że w głuchą i czarną noc brnie pieszko przez obszar nieobejrzany i mroczny, do niewiadomego, odległego celu. Śpieszy się, śpieszy... pot obfity oblewa mu czoło, pierś dobywa ostatniego tchu, jakby na pośpiechu zależało wiele, niezmiernie wiele... Ciężki, niezmiernie ciężki pochód... Nogi lgną do ziemi, by do magnesu żelazo, lepka, niegościnna gleba chwyta stopy, jakby w zdrađne, okrutne kleszcze. Naraz czuje, że się w tym zdrađzieckim gruncie zapada, że wstrętne, oślizgłe trzęsawisko ściąga go, wehlania coraz głębiej, że tonie w niezgruntowanej, obrzydłej topieli bez dna i bez granic. Dzika, śmiertelna roz-

pacz podnosi mu włosy na głowie. Ostatnim wysiłkiem samoobrony wyciąga jeszcze ramiona ku niebu, po nad bezgrunt chłonej topieli i widzi, że z góry, jak cudowna różycą blasku wśród mroku nocy, spływa postać dziewicza najmiłszej sercu urody, z oczyma, pełnemi żalu niewysłowionego, z uśmiechem bladym i bolesnym... Nagle z hukiem piorunu rozwiera się łono przepaści i on pogrąża się, zapada ostatecznie w bezdeń i mrok...

Cypran ocknął się ze snu, cały spocony i z głową ciężącą kamieniem. Nad nim stał pochyłony stary Gaudenty, który już od długiej widać chwili starał się go obudzić. Przez uchyloną zasłonę namiotu widać było szary brzask rodzącego się dnia. Powietrze raz wraz drgało od huku dział. Rzeźki odgłos wojennej pobudki rozlegał się dźwięcznie w ciszy perłowego poranku.

Front wojska polskiego rozwinał się wzdłuż pozycji, zwrócony przeciw nieprzyjacielowi, rozpoczynającemu atak. Pułk przedniej straży miał w tym dniu wyznaczone stanowisko w pobliżu Uchanki, na nieznacznej wyniosłości, z kąd Cypryan łatwo mógł ogarnąć wzrokiem całe niemal pole bitwy.

Brzęmię nocnego ucisku spadło z duszy, która w zorzy letniego zarania, w obliczu nieźrównanego widoku wszechznającej się walki wnet odżyła równowagę i jędrną świeżość wrażliwości młodzieńczej.

Mroźny dreszcz zachwyty, pełnego grozy, wstrząsnął piersią Cypryana wobec obrazu, jaki rozwijał się przed oczyma. Z dalekich równin zabu-

zańskich, na lewem skrzydle rosyjskiem, było w pozycję polską dwadzieścia dział generała Braźnikowa przy pułku kijowskim, dwanaście dział na skrzydle prawem przy pułku sybirskim oraz dwadzieścia cztery działa generała Dunina ziały ogniem nieustannym. Grad pocisków świstał i warczał w powietrzu, przelatując po nad szancami i donosząc hen po za Kulemczyce, aż ku ciemnej ścianie lasów, bramujących widnokrąg od strony zachodniej. Widać było, jak na dłoni, jak pod osłoną piekielnego ognia onych 56 dział, trzy kolumny Kachowskiego ruszały do ataku po błoni nadbrzeżnem. Przeciw nim zagrzmiało jedynie dziesięć armat, jakie posiadał Kościuszko, w tej liczbie dwie armaty dwunastofuntowe, 6 sześciofuntowych i 2 haubice.

Był to ogień nadto słaby, aby mógł wstrzymać nieprzyjaciela. Cypryan widział, jak piechota i Dońce, korzystając z licznych mielizn na Bugu, wśród w kilku jednocześnie miejscach poczęły przechodzić rzekę — był niemym, drżącym od wzruszenia świadkiem zacieklej lecz daremnej obrony polskich batalionów, które nie były w stanie, mimo wysiłków bohaterskiego męstwa, przeprawić tej przeszkodzić. Pojedyncze oddziały rosyjskie przebrnęły rzekę i widać było, jak całe pułki na gwałt formowały się po tej stronie do ataku. Cypryan widział oczyma, zasnutemi mgłą niewysłowionego uniesienia, jak na pierwszym krańcu pozycji pułkownik Sałtykow z dwoma batalionami oraz z brygadą kozaków dońskich szedł do ataku przeciw prawemu skrzydłu polskiemu, gdzie wnet wywiąza-

ła się zażarta walka z pieszemi batalionami pod Gorzeńskim, Ilińskim i Malczewskim. Wśród zamętu i zgiełku w tamtej stronie, Cyprianowi zdawało się, że dostrzegł Kościuszkę, sunącego błoniem na swym białym koniu ku zagrożonej pozycji i wiodącego za sobą szwadron kawalerii.

Ale wnet uwagę młodego ochotnika od tamtej strony odwrócił atak Rosyan, skierowany wprost na pozycję pod Uchanką, gdzie w okopach stał regiment pieszy Teodora Potockiego i batalion pod szefem Raczyńskim. Na tę pozycję rzucił się pułkownik Pustowałow na czele dwu batalionów pieszych oraz pułku kozaków i regularnego małoruskiego. Bój na śmierć, jaki zawrzał tu przed okopami, miał teraz Cyprian przed samymi oczyma, jak na dłoni.

Jednocześnie po tamtej stronie Bugu widać było manewr całej masy kawalerii nieprzyjacielskiej, którą generał Markow trzymał w asekuracji baterii. Niebawem nadeignął generał Dunin i z 2 pułkami piechoty i 2 ma jazdy wsparł atak Pustowałowa na okopy pod Uchanką. Teraz tu wypadło polskiemu żołnierzowi walczyć przeciw pięć-kroć silniejszemu nieprzyjacielowi.

Niebawem, po zaciętej walce, trzy szanse zostały zdobyte. Wówczas Kościuszko, odparwszy atak Rosyan na prawe skrzydło i zmusiwszy Sałtykowa do odwrotu, przybył na zagrożoną pozycję pod Uchanką i wnet wydał rozkaz pośpiesznie wywozić działa z baterii szancowych, by nie wpadły w ręce nieprzyjaciela. Jednocześnie przez adjutan-

ta Kościuszki pułk przedniej straży otrzymał rozkaz wsparcia natychmiastową szarżą pieszych batalionów i odzyskania utraconych szanów.

Pułk ruszył z miejsca rysią. Dopiero teraz Cyprian odetchnął z ulgą i w coraz rosnącym pędzie szarż chwytal z dziką niemal rozkoszą szeroki dech piersią uciskaną aż dotąd niewymowną udęką wyczekiwania bezczynnego. Wydawało mu się, że jeszcze nie dość szybko rwie szwadron. Płomienną, niecierpliwą żądzą rychlejszego zwarcia się z wrogiem wyrwał się naprzód, prześcigał płomieniem serca szalony przecwał, w jaki już był wpadł szwadron, ognistą myślą był już tam, w najgorętszym wirze walki, płomieniem rozgorzałego serca uderzał w pierś wroga, by grotem lancy... Naprzód!... dalej!... dalej!...

Pierwszy rzucił się dla odparcia szarżującej kawalerii pułk regularny małoruski, ale nie zdołał wstrzymać furi natarcia, wywrócony, zbity, zsiekanany, pochłonięty prawie do szczytu. Cyprian w uniesieniu niewysłowionem zrazu ciał i siekał na oślep, lecz wnet, ochłonawszy z pierwotnej furi, zaczął z zimną uwagą rozdawać ciosy niechybne i niezawodne, torując sobie drogę wśród zbitej cizby mołojców. Gdy już tych nie stało na placu, zjawili się czerwoni dońscy kozacy, nie czekając jednak na skutki szarży, pierzchli wnet w obie strony, odsłaniając tuż za sobą zwarte szeregi piechoty pułkownika Pustowałowa. Cyprian, już dopadając jej niemal w pierwszym szeregu swego szwadronu, widział, jak lufy karabinów, wymierzone

wprost ku piersiom atakującej kawalerii, zakwitły naraz obłoczkami dymu i salwa rot, jak grzmot przeciągły, buchnęła prosto w piersi atakującej kawalerii. Jednocześnie Cypryan uczył, że jego Sokół potknął się raz i drugi, i nagle runął, przeszyty strzałem śmiertelnym, on zaś sam zsunął się z kulbaki wprost na najeżone ostrza stalowych bagnatów.

W upadku, pałaszem jeszcze zasłonił się od ciosów, nie był już jednak w stanie skutecznie się bronić, zwłaszcza, że trup konia przywalił mu biodro. Wpółleżąc, przed oczyma, obląkanemi z rozpaczy, ujrzał błyszczący bagnet i uczył jeszcze straszliwe pehnięcie prosto w pierś stalowego ostrza, wgniatającego srebrną blachę ryngrafu, który nosił na piersi, w ciało i dekę. Zaczem ból straszny, druzgocący świadomość, osłonił jego głowę tumanem nocy...

Na niewielkim wzgórku przed Uchanką stał na kopcu Kościuszko, obserwując z bliska skutek szarży pułku przedniej straży i walkę w okopach. Widząc, że kawalerzyści przełamali w końcu szeregi jeźrów i że już są wewnątrz okopów, odwrócił ku stojącemu obok adjutantowi Fiszerowi wyśnioną twarz i oddechał się z westchnieniem ulgi:

— No, chwalmyż Boga i tuśmy górą. Teraz trzeba dokonać zwycięstwa.

I już miał wydać rozkaz, aby będąca w rezerwie jazda wsparła utrudzonych kawalerzystów przedniej straży i oczyściła okopy z resztek trzymającego się w nich jeszcze wroga, gdy w tem przypadł

na spienionym koniu oficer ordynansu i wyciągając rękę w kierunku lasu zawołał resztką tchu:

— Tam tam—oskrzydlać nas od tyłu!..

Kościuszko spojrział w tamtą stronę i zbladł, zrozumiałwszy całą grozę niebezpieczeństwa: z lasu od granicy galicyjskiej, którą on w swej prawości nieskazitelnej uważał za nietykalną, wysuwały się kolumny jazdy nieprzyjacielskiej. Był to pułk jeźrów konnych pod pułkownikiem Palembachem, który, gwałcąc prawo neutralnego państwa, przebył granicę austriacką i atakował tył oraz prawą flankę pozycyi polskiej.

W sytuacji tak krytycznej, Kościuszko powziął decyzję w jednym momencie. Jeden szwadron jazdy Wielowieyskiego, którą dotąd trzymał w rezerwie, rzucił ku szaniecom pod Uchanką, dla wsparcia pułku przedniej straży, sam zaś, stanawszy na czele reszty, pośpieszył ku prawemu swemu skrzydłu, zagrożonemu przez zdradziecki obchód Palembacha.

Zdała widać było, jak piesze bataliony, stojące w szanecach lewego skrzydła przyjęły mężnie ogniem rotowym atak jeźrów konnych, dla wykonania czego szybko zmieniły front. Ogień ten jednak nie wstrzymał zapędu konnicy i już dwie baterie szanecowe zostały opanowane przez Rosyan. W chwili, gdy waleczny Palembach, z szablą wzniesioną w ręce, rzucał się już na trzecią baterię, jazda Wielowieyskiego z Kościuszką na czele dopadła już szanec, zaś batalion pieszy fizylierów jeszcze raz dawał ognia do nieprzyjaciela. Palembach, ugodzony w pierś kulą, martwy spadł z konia, jegry

zostali wywrócenii przez szarżującą na nich jazdę Wielowieyskiego, kilkudziesięciu dostało się do niewoli, reszta legła lub rozproszyła się w krótkiej chwili.

Atak Rosyan na całej linii został odparty, zwycięstwo niewątpliwie zostało przy małej armii Kościuszki. Mroczył się już wieczór. Z chwilą jednak, gdy granica galicyjska i las nad nią przestały być osłoną nietykalną, utrzymywać się dłużej na pozycji stało się niepodobieństwem, gdyż lada moment groziło niebezpieczeństwo oskrzydlenia przez przemożne siły armii Kachowskiego. Zniewolony temi względami, jak również nagłem cofnięciem się brygady Biernackiego, Kościuszko jeszcze przed nadejściem nocy zarządził rejteradę, w celu złączenia się z korpusem Poniatowskiego. Odwrót szczupłej armii osłaniał porucznik Kniaziewicz, na czele czworogranu z batalionu fizylierów i wywiązał się z tego zadania zaszczytnie i z zupełnem powodzeniem.

W ocknieniu.

Czeczela ocknął się pod uczuciem gwałtownego bólu, który zdawał się przewiercać pierś na wylot. Lecz wracająca świadomość, nakształt wiotkiego i zabląkanego promyka, nie była w stanie na razie przeniknąć mroku tej nocy, jaka spowijała go przez czas niewiadomy. Na wpół błędnymi oczyma powiódł dokoła: leżał na łożu polowem w namiocie, a tuż nad sobą ujrzał pochylonego sprawcę tego straszego bólu, który powtórnie odbierał mu niemal świadomość. Był to chirurg wojskowy ich pułku, który w asystencyi swego pomocnika operował mu pierś i zakładał bandaż własnymi rękoma.

Cyprian zacisnął zęby, wydając z gardła stłumiony, chrapliwy jęk, spróbował jednocześnie poruszyć się, ale uczył we wszystkich na raz członkach straszliwy ból, jak gdyby całe ciało stanowiło jedną ranę. Zajęczał więc na nowo i, czując w ustach

gardle suszę i gorycz, szepnął z wysiłkiem niesłychanym:

— Pić...

Medyk przyłożył mu do spalonych warg kubek z napojem orzeźwiającym i, poznavszy, że pacjent odzyskał świadomość, powiedział tonem strofowania:

— Leżeć mi spokojnie i dziękuj Bogu, że żyjesz. Podziurawionys bagnetami, jak rzeszoto. Gdyby nie ten kawał blachy na piersiach, zostałbyś nadziany na bagnet, jak chrabąszcz na szpilkę. Bogu dziękuj.

Poczem kiwnął na kogoś w kącie namiotu i jał pouczać, jak pielęgnować chorego. Cypryan, nie mogąc poruszyć głową bez okrutnego bólu, spojrział ukosem i obaczył Gaudentego, wyciągniętego służbicie przed chirurgiem. Staruch trząsł się całym ciałem i na siwe, obwisłe wąsy gradem kapąły mu łzy.

Chirurg wyszedł z namiotu, ranny zaś cichym szeptem zawołał:

— Gaudenty!..

Stary sługa zatrząsł się i przysunął do łoża.

— Że też Bóg panicza ocalił... *Ave Marya!*..

I z głośnym szlochem runął do nóg rannego.

Lecz przed chorym były jeszcze długie, długie dni okrutnych cierpień. Gorejący płomień trawił i żarł piersi, zwęglił usta, kirem nieprzeniknionej nocy, pełnej piekielnych widziadeł, zasnuł umysł. Momenty ocknionej świadomości zdarzały się rzadko w tej fazie choroby i były niemal przelotne.

W jednej z chwil takich, gdy Cypryan spojrział na świat przytomniejącemi oczyma ocknął się z uczuciem dziwnej, nieznanej ulgi. Ktoś stał nad nim i cichą, kojącą dłonią dotykał jego rozpalonego czoła. Cypryan wlepił przytomniejszy wzrok w czyjąś twarz nachyloną, zatroskaną serdecznem współczuciem, twarz jak gdyby gdzieś, kiedyś znaną i bliską... Przez chwilę w źrenicach chorego widniało usilne natężenie myśli, zaczęł blask cichej jasności rozlał się po jego strawionej twarzy i zwiędłe wargi poruszyły się w cichym, radosnym szepcie:

— Panie Tadeuszu... generale...

Kościszko z dobrotliwym uśmiechem pochylił się nad łożem.

— Poznajesz mię waćpan? Dobry to znak, wróżący, że niebawem powrócisz do zdrowia. Jakże się waćpan czujesz? Nie brak ci tu czego?—wypytywał troskliwie.

Lecz Cypryan nie odpowiadał nic, nie zdejmując rozjaśniającego się spojrzenia z tej drogiej, niezapomnianej twarzy. Obecność tego wodza i niemal przyjaciela napelniała jego duszę stanem dziwnej, niewysłowionej błogości, równej uczuciu kojącego wesela.

Po chwili, z trudem zbierając słabą myśl, zapytał cicho:

— Generale... gdzie jesteśmy obecnie?

— W obozie pod Kurowem na lewym brzegu Wisły. Lazaret wysyłamy do pobliskiego Lublina. Będzie ci tam wygodniej i prędzej odzyskasz zdrowie, niż w polu, wśród marszów ustawicznych.

Cyprian nie zdejmował ociążałych oczu z twarzy Kościuszki. Mimo myśl słabą, dopatrzył wyrazu głębokiej troski, piętnującej twarz generała. Z wysiłkiem niesłychanym, począł zbierać rozproszone błyski świadomości, poczem szepnął z akcentem błagalnym:

— Generale... pragnąłbym wiedzieć... czy zwyciężymy?...

I niespokojnym, zupełnie przytomnym wzrokiem badał ciche oblicze Kościuszki. Dostrzegł cień smutku, który obłokiem przesunął się po tem obliczu.

— Planujemy linię obronną przenieść po za Wisłę—mówił Kościuszko. — W kraju rdzennie polskim, w pobliżu stolicy, łatwiej będzie zaopatrzyć wojsko w prowiant, oraz łatwiej o stanowczą przewagę nad nieprzyjacielem. Ufajmy Bogu, że nam pozwoli zwyciężyć w tej świętej walce.

Poczem, tłumiąc westchnienie, weselszym tonem dorzucił:

— No, bywaj mi waćpan zdrów. Daj Bóg, byśmy się obaczyli w weselszych czasach...

Na pożegnanie dotknął znów zgorączkowanego jego czoła dłonią cichą i miękką. Lecz, gdy miał ją odjąć, Cyprian, nadludzkim wysiłkiem dźwignąwszy bezwładne ramię, przytrzymał ją i przycisnął do swych spalonych na węgiel, czerniałych warg. Dwie ciche, palące lzy stoczyły się po jego zniechęconej twarzy i spadły na dobrotliwą dłoń Kościuszki.

Jakoż, instynktem niewiadomym serca, Cyprian

przeniknął ciężką troskę, gnębiącą ukochanego woźdźdź, chociaż nieznanem mu było jej źródło. Mianowicie, w przeddzień, gdy armia księcia Józefa przyciągnęła pod Kurów, gruchnęła po raz pierwszy w obozie pogłoska o podpisaniu, jakoby, przez króla akcesu do Targowicy. Piorunująca wieść wytrącała wprost broń z ręki, przyprawiała wielu o obłęd rozpacz. Więc na nic, na marne poszedł wszystek krwawy trud tylu potyczek i walk zwyciężskich, więc trzeba będzie złożyć oręż i niewolniczo ulegać przeciwnikowi, który przecież dotąd nie był zwyciężcą?.. Na samą tą myśl obłęd chwycił się umysłów. Oficerowie tłumnie wtargnęli do namiotu księcia, i „marszcząc brwi i okazując rozpacz dziką”, żądali wyjaśnienia pogłoski. Książę Józef, tyle wiedząc, co wszyscy, oraz dając wyraz oburzeniu, pełnem żalości „spólnie z towarzyszami”—natychmiast zredagował pismo do króla, w którym pisał: „podłość uniżenia aż do zdrajców Ojczyzny, byłaby grobem naszym”... Powzięto decyzję pismo to wysłać do Warszawy przez Wielhorskiego i Mokronowskiego, z dopiskiem, zawierającym nie dwuznaczna groźbę, iż będą oni mówili „w imieniu całego dotąd wiernego W. K. mości żołnierza”.

Te to zdarzenia poprzedziły odwiedzenie Cypriana Czeczela przez Kościuszkę i teraz, z niedającym się wysłować niepokojem, oczekiwano powrotu z Warszawy wysłańców. Tliła się jeszcze w sercach iskierka wiotkiej nadziei, że króla od zgubnego kroku powstrzyma i odwiedzie woła wyraźna i zapal wojska. Tymczasem odbyła się przeprawa

armii przez Wisłę pod Puławami, po moście, postawionym uprzednio przez pułkownika inżynierii Sie-rakowskiego. Przednie straż armii Kachowskiego szły w tropy i nastawały znów na aryergardę korpusu Poniatowskiego. Pewnego wieczoru zjawił się w obozie kuryer od króla, rozminawszy się w drodze z Wielhorskim i Mokronowskim. W chwili doręczenia księciu Józefowi królewskiego pisma, w jego namiocie, przy biesiadnym stole, znajdowało się kilku co lepszej młodzi, którą książę rad zawsze się otaczał, między innymi, Janusz Iliński, generał inspektor, który, jako ochotnik przed kilku dniami przybył był do obozu.

Książę szybkim ruchem rozerwał pieczęcie i od jednego rzutu oka przebiegł treść pisma: było to zawiadomienia o zawartem armistycyem oraz rozkaz natychmiastowego zaprzestania działań wojennych przeciw Kachowskiemu, który, już jako wódz armii alianckiej, tymże lewym brzegiem Wisły ma dążyć ku Warszawie.

Księciu, gdy przebiegał oczyma te wyrazy, zdało się, że grunt się mu usuwa pod stopami i że zapada się w jakąś niezgruntowaną przepaść.— Myśl na moment zmartwiała i ścięła się lodem ostrej rozpacz. Te świetne oczy zasnuł kir bezbrzeżnej żałoby, w uszach zahuczały dzwony pogrzebu... Zwolna, to piękne, marmurowo-blade czoło jęło się powlekać purpurą płomieniejącego rumieńca. Pierś pękała i rwała się w strzępy od ciosu tego gromu, dumne serce, przygwożdżone nagle do pręgierza tej kruszącej hańby, trzepotało się, pławiąc się we krwi

jak ptak, przeszyty strzałą śmiertelną. Ta dusza rycerska i wyniosła, dla której honor i cześć nie-skazitelna stanowiły jedyny zakon i prawo żywota, wiła się teraz w konwulsjach okrutnej boleści wobec hańby, której wieki nie zmażą...

Wzgarda zabójcza kotłowała się w zdruzgotanej piersi, wstyd przeklętem zarzewiem palił czoło, krwawy, bezbrzeżny żal zatapiał szpony w rdzeń serca. Oto już mija bezpowrotnie to bohaterskie epos, świetne błyskawicami pałaszy, zdobytych za honor narodu, za jego cześć i niepodległość, szkarłatne rubinem świętej, ofiarnej krwi... Już odtąd nie będzie wolno wznieść dumnie rycerskiego czoła, jeno trzeba będzie chylić je i tarzać w prochu... O, gdybyż raczej zgon na placu boju, z orężem w dłoni, piękny chwalebny zgon żołnierski, niż taka chwila znikczemnienia, upadku, zmazy!..

Brzemie ucisku i rozpacz, jak góra niebosiężna, przywaliło pierś. Jakiegoż to trzeba będzie rozmachu skrzydeł orlich, jakowej dźwigni potężnej, aby z duszy wyważyć kiedyś gład taki i śmiertelnie uciśnionej piersi powrócić moment wolnego, bohaterskiego tehu...

Nikt w namiocie nie ważył się naruszyć zaklętego milczenia tej chwili jedynej. Z zatajonym tchem, szpiegowano ciekawemi oczyma najlżejszy wyraz na twarzy wodza, mający objaśnić o treści królewskiego pisma. W tem do namiotu wszedł młody oficer od feldwachów i, wyciągnawszy się, jął raportować księciu Józefowi, że właśnie nadechodzą kozaki i już się ucierają z naszymi wedetami.

Książę podniósł mgliste, ociężałe źrenice i patrzył na raportującego oficera jak na marę, nie zdając sobie przez moment sprawy z tego, co doń mówiono. Zaczem, jakby ockniony ze snu, przesunął dłonią po czole, po powiekach stężyłych. Skinął oficerowi na znak, że może odejść. I, nieprawdopodobnym wysiłkiem woli, przywoławszy uśmiech na usta, zwrócił się do otaczającej młodzieży:

— Komu wola, mości panowie, proszę za mną. Zapolujemy na Dońców.

W kilka chwil potem przed namiot wodza wprowadzono pokulbaczonych konie. Książę Józef, zarzucając płaszcz na ramiona i przypięwszy do boku pałasz, dosiadł swego ścigłego angielszczyka, poczem, wraziwszy mu w bok ostrogi, jednym susem, na czele dobranego grona, skoczył w mrok gęstniejący bezgwiezdnej nocy.

D y m i s y a.

Nazajutrz, wczesnem ranem, w obozie ozwały się bębny, wzywające do apelu. Szeregi wyciągnęły się w milczeniu w dwie linie, frontem do namiotu wodza. Niebawem przed szeregami zjawił się książę Józef, otoczony sztabem i, wśród śmiertelnej ciszy, wspólnie z rozkazem dziennym, ogłosił wojsku armistycjum, wynikające z podpisania przez króla związku targowickiego, oraz, że od tej chwili ustają wszelkie kroki wojenne.

Silny i dźwięczny głos wodza, gdy wygłaszał te wyrazy, łamał się i drgał spazmem żalu. — Otaczający go oficerowie byli wzruszeni i mieli łzy w oczach. Szeregi słuchały wieści w głuchem milczeniu, zaczem pomruk posępny wydzwignął się z ich głębi i, naksztalt ehowego gromu, potoczył od końca do końca. W każdej niemal piersi, począwszy od ostatniego żołnierza, wezbrała gorycz i żal. Przecież zwyciężali... W ciągu tych dwumie-

sięcznych zapasów, poznali własną moc, nauczyli się ufać własnemu męztwu, przeświadczyli się niejednokrotnie, że ów srogi, ćwiczony w bojach nieprzyjaciół, niedawny zwycięzca z pod Oczakowa, niezwyciężonym wcale nie jest. A teraz, po tylu trudach i walkach, niepobici przecież, mają złożyć broń i otworzyć wolny dostęp wojskom rosyjskim do Warszawy?.. Co to ma znaczyć?.. Po cóż był tedy wszystek znój tylu walk krwawych, tylu dróg, tylu uciążliwych marszów, odbytych w trudzie, głodzie i niespaniu?..

W głuchym, pośepnym smutku zeszedł ów dzień w obozie polskim, nazajutrz zaś, dnia 30 lipca, gdy wojsko stało pod Sieciechowem, przybyli Wielhorski i Mokronowski, spełniwszy swoją misję poselską do króla Stanisława.

Wszystek „kor” ¹⁾ oficerów zgromadził się w namiocie książęcym dla wysłuchania relacji posłów. Już z samych ich twarzy łatwo było poznać, że powrócili z niczem. Jakoż ta smutna prawda wnet wyniknęła z ich opowieści. Nie wskórali u króla nic. Mieli się tylko nasłuchać „zakłęb z płaczem i szlochaniem”, aby wszelkimi sposobami starali się uśmierzyć wojsko. Nie zdołali zeń wydobyć ani słowa jakiegokolwiek nadziei.

Przez chwilę zapanowała w tym namiocie, natłoczonym rzeszą oficerów, przynębiająca cisza. Upadek ducha był powszechny. Za moment, na tle

¹⁾ (Corps.)

głuchych szmerów, rodzących się w tem zgromadzeniu, ozwał się potężny głos weterana, pułkownika Zawiszy.

— Na nie tu narady. Nie możemy ulegać dłużej władzy, która tak haniebną zmasała się zdradą, zaprzędawszy wrogowi honor i niepodległość Ojczyzny. To nas rozwiązuje z przysięgi. Kole-dzy! Obierzmy z pośród siebie naczelnika, któremu zawierzyć będziemy mogli. Ofiarujemy mu władzę nieograniczoną. Niech nas wiedzie do zwycięstwa, albo na śmierć cnotliwą, jakiej każdy żołnierz po-żąda!..

Ciszę, jaka potem przemówieniu zaległa na moment, wnet przerwał wybuch okrzyków z dziesiątków piersi, który zatrzęsł namiotem:

- Zgoda! Zgoda! Dobrze powiedział!
- Wszyscyśmy zatem. Dajemy *consens* ogólny!
- Nie masz inszej rady!

— Obierzmy naczelnika! Chcemy się bić do ostatka. Precz ze sprzedawczykami i zdrajcami!

Nagle jakiś głos potężny wydzwignął się z tej wrzawy i sam jeden zapanował w namiocie:

— Niech żyje książę Józef Poniatowski, Naczelnik Narodu!.. *Vivat salvator patriae!*..

I naraz nastąpiła scena, której nikt może nie spodziewał się przed pięciu minutami. Zwarte koło oficerów jednomyślnym rzutem otoczyło księcia Józefa. Zapal porwał wszystkich. Starsi i młodszy ran-gą tłumnie jeli się cisnąć do księcia, wyciągając

ramiona, dzwoniąc pałaszami, z wezwaniem na ustach i prośbą w rozgorzałych żrenicach:

— Przyjm, mości książe, władzę nieograniczoną, którą ci w imieniu całego wojska ofiarujemy! Przysięgamy ci wierność i uległość, zawieramy ci nasz honor, życie, sprawę ojczyzny! Ufamy, że nas nie zawiedziesz, boś nie zdrajca i nie sprzedawczyk. Bierz władzę i prowadź nas znowu na plac boju, dokąd nas wzywa święty obowiązek!.. Zaklinamy cię, nie wahaj się ani na chwilę, gdy widzisz szczerą chęć i wolę zgodną nas wszystkich!..

Książę Józef stał wśród tego tłumu jak posąg znieruchomiały, nawpół oszołomiony i zaskoczony znienacka takim obrotem sprawy. Zbladł bardzo. Jego aksamitne żrenice rozszerzył na moment wyraz jakby przelotnej zgrozy. Z drgających wzruszeniem warg zerwały mu się urywane wyrazy:

— Mości panowie!.. co czynicie!.. Wszak to jest jawny rokosz!..

Poczem, gdy nalegania i zakłęcia nie ustawały, on, opanowawszy wreszcie wzruszenie, odzyskał swój wzrok wyniosły i, uderzając nim śmiało w te rozgorączkowane, uniesione oblicza, począł mówić głosem dumnym i wzburzonym:

— Żadną miarą nigdy stać się to nie może, abym miał nie dopełnić obowiązku, jaki każdy żołnierz przysięgły i honor nadewszystko ceniący mieć winien względem swej prawej zwierchności oraz władzy Boga i narodu postanowionej. Dziwi mię, jakeście mogli waćpanowie, wśród których tyłu jest

starych żołnierzy, do tyła się unieść, iżeście zapomnieli o wiążącej nas wszystkich powinności posłuszeństwa względem prawowitej władzy, jaką jest jedynie władza króla i narodu. Uzurpatorem tej władzy być nie chcę i nie złamię mej przysięgi, gdyż wraz z nią musiałbym złamać swój honor i ten oto pałasz...

Świetne skry tłumionego oburzenia gasły w mgławicach się głębiach wzniesionych żrenic. Lecz po chwili, widząc żal zawodu, malujący się na wszystkich obliczach, oraz pragnąc złagodzić wrażenie twardych słów, wyrzeczonych w uniesieniu, jął mówić miękko, niemal serdecznie:

— Wdzięcznym waćpanom głęboko za ich sentymenta ku mnie, które nie są dla mnie mniej miłszemi, niżli wówczas, gdyby sama rzecz była do wykonania możliwą. Teraz jednak radźmy, co począć. W mojem mniemaniu, gdy już nie wolno nam dalej walczyć w obronie Ojczyzny, honor wojskowy zdaje się nam nakazywać raczej rzucić ten mundur, niżli podzielać go z ludźmi, pozbawionymi czci. Ulegając tym względom, jestem w determinacyi wysłać natychmiast do Warszawy notę z prośbą o dymisyę. Jaka jest opinia ich mościów w tej rzeczy?..

Ze zbitego grona oficerów wystąpił na środek Kościuszek. Twarz miał ściemniałą, zbrudzoną wyrazem boleści głębokiej. Podniósł rękę i, przykładając ją do piersi, odezwał się głosem smutnym niewysłowienie i wzruszonym do głębi:

— Z za mórz spieszyłem na głos tej matki na-

szej, aby przelać krew za nią. Bóg zrządził inaczej i dalsza służba byłaby przeciwną pierwiastkowej mojej przysiędze i wewnętrznemu przekonaniu. Zławszy przeto łzami ziemię urodzenia mego, pójdę do drugiej ojczyzny, gdzie mam prawo obywatelstwa, bijąc się od przemocy za nią... Ztamtąd będę zasyłał modły do Nieba i oczekiwał szczęśliwszej zmiany okoliczności krajowych, póki Bóg nie pozwoli przynieść znów krew i życie matce w ofierze...

Z kolei Wielhorski, Mokronowski i drudzy generałowie oświadczyli również postanowienie natychmiastowego podania się do dymisji. Zaczem i młodszy oficerowie, niemal wszyscy, zaczęli wołać jednogłośnie:

— I my prosimy o abszyt! Wszyscy! wszyscy!

Poniatowski zwilgłemi oczyma patrzył po obecnych, pragnąc po raz ostatni ogarnąć wzrokiem cały swój „kor” oficerów, dotychczasowych swych podkomendnych i spółtowarzyszy doli smutnej i twardej, lecz pełnej chwały... Na wszystkich twarzach widział to samo rozrzewnienie i ten sam głęboki żal. Niektórzy ściskali się i trzymali za ręce, jakby przed ostateczną i już niepowrotną rozłąką.

Osobno, w rogu namiotu, stał sędziwy weteran Zawisza, i na jego sumiaste białe wąsy, z pod namarszczonych brwi, kapąły wielkie, jak groch łzy.

Per cruce.

W mroźną, surową zimę, głuchemi drogami, wśród głębokich zasp śnieżnych, przebijał się ku Podolu Cyprian Czezel. Długie miesiące przeleżał w lazarecie wojskowym w Lublinie, a teraz, w pół uleczony na ciele i duszy mimo głębokich blizn od ran klutych i jednej niezabliźnionej przez czas, najgłębszej troski, wracał do domowych pieleszy, aby się odrodzić na nowy, spokojny i pracowity żywot.

Wszystko to, co przeżył, co minęło z tamtą wiosną tak rączo a niepowrotnie, wydawało mu się snem znikomym i niewiarogodnym, wizją zaziemską i oglądaną w objawieniu zgorączkowanej wyobraźni, ściskającą dotąd serce urokiem świętej grozy i niewysłowionym żalem cudnego wspomnienia.

Ale serce już się otrząsało potrosze z tamtych wzruszeń i zaczynało bić coraz żywiej ku obrazowi bliższej przyszłości, która nadażała ku osobistym

nadziejom i radościom, poczętym w najskrytszych tajnikach duszy.

Nużącą jednostajność podróży skracał uporczywą myślą o swej dziedzicznej wiosce, którą zamyslał odebrać na siebie — i o bogdanie, która, w zaciszu wioski, gdzieś zapadłej wśród jarów podolskich, oczekiwała wiernie jego powrotu.

Począwszy od Bugu, w miastach już wszędzie stały garnizony rosyjskie. W całym kraju, pod osłoną bagnetów wojsk Carowej, Targowiczanie adherentami swymi osadzali urzędy cywilne i wojskowe. w Brześciu rezydowała generalność konfederacka.

W dalszej drodze, Czechel, pod wieczór mroźnego dnia, zboczył sporo w okolicy Łucka do pewnej wioski, aby u dalekiego krewnego swej matki znaleźć jeden wygodniejszy nocleg wśród trudów i niewczasu uciążliwej podróży. Nieznanego prawie kuzyna, wracającego ze świeżej wojny, przyjęto z otwartymi ramionami. Posadzono przed jasno płonącym kominem, kazano opowiadać wszystkie przygody i koleje przebytej wojny. Począwszy od gospodarza, podstolego łuckiego, do ostatniego domownika wszyscy byli jednako wzruszeni, wszyscy mieli łzy w oczach. Dzieci, z szeroko rozwartymi żrenicami, z zamierającymi serduszkami w drobnych piersiach, słuchały tych opowieści młodego wojaka, jak cudnej, niezrównanej bajki, sto razy ciekawszej i bardziej przerażającej, niż wszystkie baśni i gadki piastunek, zasłyszane od lat najwcześniejszych. Młódź dorastająca słuchała z poli-

czkami, płomieniejącymi rumieńcem, ze skrami w błyszczących żrenicach.

Naraz na dziedzińcu przed gankiem wszczął się niewiadomy hałas, tupot kopyt konskich po zamarzniętym śniegu, gwar i okrzyki, ujadanie psów. Jedna z podstolańek pobiegła ku oknu, przytuliła twarz do zamarzłej szyby i wnet ją cofnęła z przestachem w oczach, z okrzykiem trwogi:

— Kozaki!

Raptem roztwarły się drzwi i w progu stanął mężczyzna olbrzymiego wzrostu, pleczysty, o nabrzmiałej i czerwonej twarzy pijaka, odziany w mundur generalności konfederackiej.

— Czołem, mości podstoli, czołem! — odezwał się ochryplym basem, zbliżając się ociężałym i chwiejnym krokiem ku gospodarzowi.

Cyprian, od pierwszego wejrzenia, poznał przybysza. Był to Złotnicki, niedawno wojski, dziś dowódca brygady złotej wolności, najwierniejszy zauszniak Szczęsnego Potockiego i jeden z filarów konfederacji Targowickiej.

Gospodarz, nie usiłując nawet ukryć przykrego zdumienia, przyjął gościa ozięble. Ów jednak, niewiele sobie z tego czyniąc, nie na fantazyi nie stracił. Pokłonił się zdala niewiastom, zaczęł, klepiąc podstolego protekcyonalnie po ramieniu, ozwał się wręcz:

— Cóż to, panie bracie, widzę, iż niezbyt miłym gościem jestem dla was—a ja tu wybrałem się do was gwoili okazania swej życzliwej chęci, a na-

wet z pewną propozycją, wielce dla was zaszczytną.

Podstoli, człek spokojnego ducha i ostrożny, wiedząc o gwałtach, jakich Złotnicki dopuszczał się po dworach, oraz czując przemoc, postanowił politykować i, siłąc się na grzeczność, poprosił gościa, aby zajął pierwsze miejsce przed płonącym kominem.

Złotnicki rozparł się wygodnie w oporęczonym zydłu, dłonie wsparł na biodrach, i ku Podstolemu się przechylając, mówił:

— Odrzuć rzecz wyłożę. Potrzeba nam człowieka godnego, przytem familianta i mającego mir w okolicy, do Łucka, na konsyliarza Prześwietnej Konfederacyi Generalnej. Szukając myślą wśród ziemian tutejszych, odrzuć wpadłem na was, mości panie Podstoli, i nie mógłbym chyba znaleźć nikogo, godniejszego na ten zaszczytny urząd. Chodzi jedynie o wasz *consensus*, który, śmiem tuszyć wypadnie przychylnie.

Spojrzeniem, pełnem dobroduszej łaskawości, badał oblicze podstolego. Ów zaś, usłyszawszy, o co chodzi, zapomniał o politykowaniu i rozwadze i, porwawszy się na nogi, z ogniem w wyblakłych żrenicach, z twarzą purpurową, zawołał:

— Miałbym przystać do tych, którzy zaprzali Ojezyzny?... Przenigdy!...

Złotnickiemu w jednej chwili zmieniła się twarz. Z pod maski dobroduszości dotychczasowej wypełzał uśmiech zjadliwy, wejrzał na uniesionego gospodarza wzrokiem bazyliuszka.

— Nie tak żywo, mości podstoli! — przemówił ryczącym głosem, hamując się jednak. — Skoro nie ma do brej woli, nikt was niewolić nie będzie. Co do zaprzańców, niewiadomo, kto bardziej na to miało zasłużyć. Ale o tem potem. Tymczasem muszę zarekwirować u was furaz dla tych tam molojców, kaście też wytoczyć im beczkę wódki, bo poziebna na mrozie.

— Cóż to? Gwałt mi się dzieje w moim własnym domu? — unosił się podstoli.

Złotnicki obojętnie ramionami wzruszył.

— Uważajcie to, jak wola — stać się jednak tak musi, jak rzekłem. A i namby nie wadziło czem ciepłem przepłókać gardła — dodał, przywołując znów uśmiech dobroduszy.

Podstoli opamiętał się i pohamował uniesienie rozważnie. Zrozumiał, że opór na nic. Wydał zarządzenie, aby podstarości dostarczył kozakom owsa i siana, z piwnicy wytoczył beczkę.

Złotnicki tymczasem podszedł do Cypryana oczami szpiega badał moment jego twarz.

— Widzi mi się, żeś mi waćpan zgoła nie obcy — mówił, zbierając pamięć. — Wiem już! toć nikt inny, jak młody Czezel, dla Boga — żywy konterfek t nieboszczyka!... Znałem, znałem... Zkądżeś tu waćpan, czy nie z wojenki, boś djablo zmizerowany i ze świeżą kresą na czole?... Nieinaczej, wszak zgadłem?... Ach, zaślepiency, zaślepiency!...

Położył dłoń na ramieniu Cypryana i, protekcyonalnie uśmiechając się, głosem znizonym dodał:

— Nie trwóż się waćpan blizkiem sąsiedz-

twem kozaków. Pod moją protekcyą włos ci nie spadnie z głowy.

Niewiasty już poprzednio usunęły się z izby, w obawie awantury.

Podano ciepłą polewkę winną, podstoli struty, postanowiwszy politykować do końca, gorliwie pełnił obowiązki gościnnego gospodarza.

Złotnicki rozgarnął rude wasy i siorbnąwszy checiwie wonnego napitku, przywołał na czerwoną twarz poprzedni dobroduszny uśmiech i, głową kiwając, jął perorować:

— Oj, zaślepieni, zaślepieni!... Jeszczeżeście się nie obaczyli za jaką sprawę chcieliście wojować? Jeszczeż wam bielmo z czu nie spadło? Za niepodległość narodu myślicie? za ojczyznę?... O nie, zaprawdę!... A wiecie za co? Oto za pomnożenie nieograniczonej władzy monarszej ku waszej własnej zgubie, za owo nienawistne nam od wieków *dominium absolutum*, jak mawiali ojcowie nasi... Ale, niech będzie Bogu chwała, naród w czas się opatrzył, ku jakiej wleczenie go zgubie... Pan Szczęsny marszałek bystrym rozumem swoim pierwszy to przeniknął, pierwszy powstał na obronę zagrożonej wolności i swobód szlacheckich. On pierwszy zrozumiał to, co dziś wszystkim naród, oprócz was, zaślepiionych, rozumie i czuje, jako najcenniejszy klejnot naszego stanu, wolność szlachecka, owo jestestwo staropolskie zabezpieczone być może jedynie łaskawą protekcyą wspaniałomyślniej Imperatorowej, za której pomyślność i zdrowie ten kielich wznoszę!

.....

Nazajutrz, skoro świt, na wyraźny rozkaz, Gaudenty obudził Cyprana i niebawem obaj chyłkiem opuścili uśpiony jeszcze dwór, pełny spitego żołdactwa. Późny popas wypadł im w samym Łucku, do którego ledwie dowlekli się zdrożeni i głodni. Gdy wjeżdżali na rynek, obaczyli zbiegowisko ludu, skupionego przed ratuszem, na którego ścianach widniały snąc świeżo nalepione obwieszczenia. Czeczcel zeskoczył z konia i, powodowany ciekawością, wmieszał się w tłum, ażeby odczytać treść plakatu. Od pierwszych jednak wierszy zniechęcony i jakby zastygł na miejscu.

Był to manifest, opublikowany przez generała Kreczetnikowa, a datowany w obozie pod Polonem. Obwieszczał i zapowiadał zajęcie i przyłączenie do Rosyi czterech dawnych województw polskich, począwszy od osady Drui na lewym brzegu Dźwiny, dalej przez Stołpce, Nieśwież, Pińsk etc. ku granicy Galicyi i idąc po tejże aż do Dniestru i Dniestrem aż do Jahorlika, dawnej granicy między Polską a Rosyą. Donosił do wiadomości publicznej, że on, generał-lejtnant Kreczetnikow, jest naznaczony generał-gubernatorem tych prowincyi. Zalecał wykonanie przysięgi Imperatorowej w przeciągu nadchodzącego miesiąca marca.

Przygwożdżony siłą fatalną, jakby bezwładem uczucia, Czeczcel bez ruchu tkwił w miejscu, z stygnącym tchem w piersi. Myśl zawirowała w lodo-

watej pustce mózgu, obleciała kołem nieobejrzany widnokrąg. W jednym mgnieniu oka była na polach Dubienki i Zieleniec, na wzgórzach, oszronionych rosą nieobeschłej krwi... a potem, jak ptak, przesyty grotem śmierci, załopotła złamanem skrzydłem w zamglone jutro, jak w szybę beznadziejnej nocy.

K O N I E C.



286380